



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

PRZEBUDZENIE.

Budzę cię, różo! Rozchyl tve zasłony,
Kwitnij i stań się ideałem kwiatu;
Lecz pomnij: kielich spełniwszy różowy,
Gdy wszystko będzie dla ciebie skończonem,
Gdy perła marzeń wypadnie z korony,
Gdy staniesz przed sprawiedliwości tronem:
Sędzia kolorów zażąda surowy—
Rachunku z twego szkarlatu.

Budzę cię, myśli moja! Wstań do walki,
Na linie marzeń, która się kołysze
Nad przepaścią doczesności,
Idź z równowagą naprzód, lekka, śmiała,
O, myśli moja, z czujnością Westalki
Strzeż ognia prawdy dumającej Psyche:
Bo ty przed sędzią światła zdać będziesz musiała
Rachunku z twojej jasności.

Budzę cię, wolna wolno! O, rycerkol!
Ty bądź Joanną d'Arc głębin mej duszy,
Kieruj myślą, co woła: „Chcę przestrzeni!“
Prowadź serce, co woła: „Chcę miłości!“
Rządź żelazną twą ręką—bohaterko!
Której męstwo zaporę złego kruszy,
Co wywoływać umiesz czyn z nicości,
Która zaparcie siebie masz na tarczy,
Natchnienie na sztandarze,
Której sumienia głos za szczęście starczy:

Obudź się, wolna wolno! obudź strażę,
Czuwaj, bo kiedyś sędzia władzy zdać ci każe
Rachunek z twojej wolności!

Budzę cię, sercel! Czuj, ah, czuj gorąco!
Ukochaj ziemię, a niebo umiłuj,
Bądź w drodze życia pochodnią płonąca,
Co niech nie gaśnie zdmuchana cierpieniem;
Wśród cieniów nieść ją usiłuj;
W oziębłość świata swoim uderzeniem
Bij z uniesieniem!

O, kochaj serce, wszystkich i jednego,
Ale raz tylko przez życie i wieczność,
I niechaj piękność świata wewnętrznego,
Który bez ciebie znikłby w bezbarwności,
Oświetli twojej miłości słoneczność!

O kochaj, serce, z prawdą, mocno, zawsze,
[wszędzie:
Ah, bo przed sędzią uczuć zdać ci trzeba będzie—
Rachunek z twojej miłości!

Szczęсна.

POGA WĘDKA.

Na cokolwiek się w święta biedni ludzie skazyć mogli, dla słońca i nieba musieli się poczuwać do wdzięczności, bo jedno i drugie obdarzyło ich wiosenną pogodą, uśmiechało się do nich, jakby z pociechą i nadzieją lepszego jutra.

Słońce na niebie, a dobre i litościwe serca na ziemi pozwoliły choć przez dni kilka zapomnieć strapionym i zgnębnym biedakom o dolegliwościach życia.

W wielką sobotę rozdano ubogim 6000 porcyi święconego; na tacach kwestarek, którym w tym roku nie mamy powodu robić wyrzutów nieprzykładnego zachowania się w kościele przy Bożych grobach—ofiarność publiczna złożyła hojne datki dla biednych.

Wielkanoc tegoroczna przeszła cicho, spokojnie, pogodnie — w naturze zarówno, jak w duszach ludzkich.

Ktoś zauważył wprawdzie, że nigdy tylu pijanych nie spotykało się po ulicach, co podczas ostatnich świąt, ale wywnioskował z tego, że to *signum temporis*, — widocznie ludziska zalewali robaka i hołowali starej u nas, a nieszczęsnej zasadzie: „na frasunek dobry trunek“.

Musielibyśmy się od rana do wieczora upijać i zataczać, gdyby tej rady słuchać należało i stosować się do niej, jako do najłatwiejszego środka pocieszenia.

Frasunków każdy dzień przymnaża, — a ciągle wyglądamy z utęsknieniem tego jutra, które ich umniejszy.

Może i ono zaświta...

Tymczasem pocieszamy się i krzepimy, jak i czem można, rozrywamy skłopotany umysł, szukając wrażeń, któreby nam o troskach codziennego życia zapomnieć pozwoliły. W Warszawie nie brak do tego sposobności, zwłaszcza w tym czasie.

Ubiegły post obyć się musiał wprawdzie bez zwyczajnych w tej porze odczytów, które zarząd Osad rolnych do jesieni zmuszony był odłożyć, ale mieliśmy i koncerty, i rauty, i przedstawienia amatorskie, i wystawy, i „żywe obrazy“ i malowane, przy których żal było, że ożyć nie mogą.

Cele filantropijne skorzystały sporo grosza; najmniej, niestety, powodzenia miało widowisko urządzone świetnie przez naszych młodych artystów w Teatrze Wielkim na korzyść funduszu budowy własnego gmachu dla Towarzystwa zachęty sztuk pięknych.

Illustrowano na scenie „Starą baśń“ Kraszewskiego; zpoza mgły, w ramach zielonego lasu, przy dźwiękach muzyki wylądowały się, jak czarodziejskie widma, słiczne postaci i grupy starych pracujących naszych; bard siwy z lutnią w ręku przy ofiarnym trójnogu opowiadał o nich legendy, a z mroków przeszłości powstawały zakłętą poezją i sztuką cienie Piasta, Popiela. Rzepichy, dzielnych wojów i wdzięcznych dziewic...

Piękny i miły sercu pomysł mieli nasi artyści, wspólnymi siłami wskrzyszając choć w ramach obrazów tę legendową przeszłość; a zrobili to z wielkim smakiem i talentem. Cóż z tego, kiedy nie było komu patrzeć na ich pracę? Dwa razy prawie pustkami świeciła sala Wielkiego Teatru, pomimo zachęty ze strony prasy, pomimo celu i tematu sympatycznego.

Pocziwi malarze nasi trudzili się na darmo, sami malowali dekoracje, zszywali kostyminy, lepiłi przybory, rysowali szkice, ustawiali, grupowali, najczynniejszy brał udział we wszystkim, a mimo to — publiczność nie przyszła, bo ona jest kapryśnicą nieodgadniętą, bo z nią trudno do ładu trafić, bo najczęściej tam się tłoczy, gdzie jej najmniej potrzeba i lada hecarze w cyrku, albo hiszpańskie włóczęgi pod firmą „estudiantina espagnola“ więcej ją zajmują, aniżeli swojska „stara baśń“.

Trzeba umieć tej publiczności trafić do zmienności co chwila gustu; trzeba ją, jak dziecko rozciekawiać cackami, głupstwem, sztuczką, conceptem; wtedy przyjdzie.

Kto np. mógł się spodziewać, że wystawa spożywczo-gospodarska będzie miała takie powodzenie i że przez tydzień cały tłoczy się na nią będą ludzie, aby oglądać rzeczy sto razy widziane w najzwyczajniejszych wystawach sklepowych; a jednak przyniosła ona Towarzystwu Dobroczynności przeszło 8000 rs. dochodu *brutto*, i zachęciła kucharzy do nowej ekspozycji w praktyczniejszy sposób, bo pozwalający smakować na prawdę wszelakie łakocie i potrawy, które tym razem jedynie oczyma pożerać było można.

Wyrodziła się u nas w ostatnich czasach istna wystawo-mania; mamy cały szereg gotowych projektów, oprócz wystawy przemysłowo-rolniczej, świetnie się zapowiadającej na Czerwiec, do wystaw archeologicznych, artystyczno-dekoracyjnych ogrodniczych, pedagogicznych etc. etc.

Ktoś, chyba dla żartu, nosi się nawet z myślą urządzenia „kongressu wąsów“ i przeznaczania nagrodę za najpiękniejsze wąsy w postaci ozdoby i kosztownego neserera dla szczęśliwego zwycięzcy.

Trochę zamerykańska, ale w poważniejszym celu, wydaje się nam projektowana wystawa dzieci, o której nie po raz pierwszy odzywają się nasze dzienniki; jeżeli na pierwszym planie staną względy wychowawcze, jeżeli więcej o dobru dzieci a pożytecznych wskazówkach dla matek pomyśli komitet wystawy, to ów projekt może przynieść wiele korzyści.

Nie chodzi nam o galerię ziemskich aniołków, o tych „uciesznych błazneków“, jak je Rey nazywał, o popis próżności matek, — nie o stronę estetyczną, ale o psychologiczną, higieniczną, moralną, wychowawczą. Niechaj medal przyznany zostanie najzdrowszemu, najwięcej rozwiniętemu cieleśnie i umysłowo, najlepiej wychowanemu i ułożonemu dziecku, a niechaj obok niego zgromadzone będą wszystkie czynniki, które się na taki rezultat złożyły, i głosować będziemy za taką wystawą, bo to szkoła dla rodziców i wychowawców, to wyborna sposobność nauki i zachęty pedagogicznej na żywych wzorach.

Kwestya dziecięca staje dziś u nas na porządku dziennym, a jak mnóstwo innych, opiera się najsamowpiew na gruncie filantropijnym.

Nie potrzeba przypominać, że Warszawa w rzędzie miast europejskich jest jednym z tych, które mają najgorszą kreskę w rubryce opieki nad niemowlętami. Nigdzie chyba w ciągu roku nie zdarza się tyle podrzuceń, tyle śmierci dziecięcych, ile u nas.

Szczenięta gdzieindziej lepszą mają dolę i większą opieką są otoczone, aniżeli u nas biedny drobniak ludzki.

Tyle życia, tyle społecznego materiału marnu-

je się tutaj na bruku; proletaryat staje się coraz głębszym bagniskiem, z którego trujące wyziewy moralną atmosferę zakażają. Pod murami domów, na chodnikach wałęsają się dzieci opuszczone, wprawiane do żebractwa od najpierwszych lat życia, uczone kłamać jękiem, skargą, łzami, demoralizowane bezkarnie, znieprawiane w samym zarodku człowieczeństwa swego.

Patrzmy na to obojętnie i pozwalamy tej korupcy rozwijać się swobodnie...

Codziennie prawie martwe lub żywe jeszcze, na bruku, na skwerach, pod cudzym progiem znajdujemy nieszczęsne niemowlęta, przez wyrodne matki porzucone, jeżeli ich nie udusiła zbrodnicza ręka, lub nie zagładziła jaka „fabrykantka aniołków“. A to wszystko dzieje się nie od wczoraj, ale od długich lat trwa i wzmagą się, zamiast umniejszać.

Z jakimż uznaniem i radością powinniśmy też powitać nowo zawiązane Towarzystwo opieki nad biednymi matkami i ich dziećmi w Warszawie, jakąż pomoc, zachętę, poparcie należy się zapewnić celom takiego towarzystwa! I słuszność każe wyznać, że panie nasze odczuły i zrozumiały swój obowiązek, bo możniejsze pospieszyły natychmiast ze swoimi ofiarami, a mniej zamożne przynajmniej na listę członków wpisały swoje nazwiska.

Kilkanaście tysięcy rubli zebrało się już na fundusz zakładowy, a nie śmiemy wątpić, iż nowa dobroczynna, obywatelska instytucja, która ze zbrodnią, z rozpaczą ludzką, z nędzą i ze śmiercią staje do walki, rozwinię się niebawem i jak anioł opiekuńczy roztoczy skrzydła nad całą Warszawą, czuwając nad losem skazanych na zabicie niemowląt.

Będzie ona miała swoje zasługi nietylko w kierunku filantropijnym, ale i moralnym, bo uchroni niejedną nieszczęśliwą matkę od rozpaczliwego kroku na drogę zbrodni, uchroni niejedną ofiarę od wyzysku tych cychających wiedźm, które dla marnego grosza handlują prostożem życiem ludzkim.

Przed kilku laty głośnym był proces w Warszawie jednej z takich „fabrykantek aniołków“, co-to przyjmowała dzieci na wychowanie, morzyła je głodem i wyprawiała na drugi świat, „dla większej chwały Bożej“ Obecnie przygotowuje się druga taka sprawa kryminalna jakiejś Megey (*nomen est omen*), która poszła w ślady swej poprzedniczki i podobno na sumieniu swoim ma aż kilkadziesiąt niewinnych ofiar.

Niechże jeszcze wobec tego zechce kto utrzymywać, że Warszawa nie ma „tajemnic wielkiego miasta“ i że dla sensacyjnego romansopisarza w rodzaju Troloppa, Suęgo, Gaboriau lub Boigobey'a nie przedstawia materiału podostatkiem.

Nie brak nam nawet w ostatnich czasach „garratty“; dusiciele, przyzwoitej podobno powierzchowności, spełniają zbrodnie po domach dla rabunku, a pisma brukowe pełne są opowiadań o kradzieżach, rozbojach, oszustwach.

Wielkie miasto z tej Warszawy...

Wstyd nam tylko, że w tym ujemnym rodzaju ta wielkość bardziej się objawia, aniżeli w dodatnim.

Wspominaliśmy już kiedyś o tem, gdzie jednego z bardzo ważnych powodów takiego znieprawienia i demoralizacji szukać należy i wskazywaliśmy na fatalne przejściowe położenie ekonomiczne i finansowe, na to zachwianie się materialnego bytu w całym kraju i w całym społeczeństwie. Kwestya chleba, kwestya utrzymania jednostki, utrudnienie zarobku, za dużo rąk do pracy, zastój ogólny na każdym polu wytwarzają te fatalne warunki, wpływając podwójnie niekorzystnie na ogół.

Jakaś dziwna apatya, zniechęcenie, zubożenie objawia się w ludziach; coraz więcej zdarza się słyszeć wyrazy charakterystyczne, które niemal za godło mogłyby stanąć dzisiejszego usposobienia większości: „co to mnie może obchodzić!...“

Nikogo nic nie obchodzi, oprócz niego samego i jego własnej skóry.

Potrzeboby komicznie jakiegoś środka silnego, skutecznego, któryby nas odświeżył, odżywił du-

chowo, nie pozwolił nam zgnuszyć, zbezwładnić do reszty.

Stanowisko i wpływy kobiety w społeczeństwie były tyle razy już przedmiotem przeróżnych studyów, że musielibyśmy powtarzać stare prawdy znane i oddawna uznane, chcąc wskazać, jak ważną rolę mogłyby one w takich, jak obecne chwilach odegrać. Zadanie ich poważne, odpowiedzialne, chociaż trudne, ale zaszczytne; na każdym polu życia naszego publicznego i prywatnego znajduje się dla nich sposobność do zrobienia czegoś dobrego, pożytecznego lub pięknego, tylko niechaj poczuwają się do obowiązku współdziałania z mężczyzną.

Nie wolno już więcej kobiecie być bierną jednostką, ornamentem społeczeństwa, estetyczną jego częścią; życie wzywa ją do czynu, do wspólnej pracy, a przedewszystkiem do pracy nad sobą. Kształcić się, rozwijać, wzbogacać umysł i wiedzę, duchowo dojrzewać: oto pierwsze dziś obowiązki płci zwanej słabą i piękną.

Srodków u nas do tego, co prawda, niewiele; wszystko prawie dobrej woli jednostek i zrozumieniu przez nie swego zadania pozostawione; ale też tem większa zasługa i tem większy zaszczyt w takich warunkach spełniać swą rolę i zawdzięczać wszystko własnej energii i własnej pracy.

Moglibyśmy długo i szeroko rozwijać ten temat, gdyby go ramy pogawędki nie zacieśniały zanadto; poprzestajemy na rzuceniu ziarna, które w głowach i sercach żywych zakiełkować powinno, a sami przechodzimy dalej do tematów bieżących.

Mieliśmy sposobność zwracać swego czasu uwagę na ożywioną zręczność i umiejętnie działalność zarządu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych od chwili wprowadzenia do niego młodych i energicznych sił. Pomysł sprowadzenia na wystawę obrazów głośniejszych mistrzów okazał się nader praktycznym środkiem zwabiania publiczności.

Zaledwie też usunięto „Husa“ Brożika, miejsce jego zajęło ogromnych rozmiarów płótno francuzkiego malarza Giron'a, jednego z koryfuszów nowszej szkoły realistycznej.

Artysta przedstawił „Dwie siostry“, spotykające się na bruku bulwarów paryzkich, z których jedna poszła drogą hańby, zbłąkana, znieślawniona, zmarnowana — druga drogą uczciwości i cnoty; jedna strojna w powozie, z miną lekceważącą, zrezygnowaną na wszystko, cyniczną, druga pieczo w towarzystwie dzieci i męża rzemieślnika, wracającego od pracy...

W tem spotkaniu uwydatnił p. Giron kontrast moralny, wy dobył efekt dramatyczny i zrobił swój obraz tendencyjnym, ale silniej od tendencyi przemawia sama sztuka, sam sposób malowania tych figur naturalnej wielkości, z całą plastyką i realizmem występujących z obrazu. Patrzy się na nie, jak na żywych ludzi, jakimś czarem zaklętych i unieruchomionych przed oczyma widza.

„Dwie siostry“ ściągają będą liczną publiczność do salonu wystawy i nagrodzą praktyczność pomysłów komitetu, który przygotowuje już nowy środek zainteresowania Warszawy; zbiera bowiem dzieła zmarłego artysty Alexandra Lessera i zamierza wystawić je w zbiorowej galerii. Lesser, rzec można, był ojcem naszego historycznego malarstwa, a w dziełach jego pozostał odblask tej jutrzni, która rozbliżyła w południowym blasku dzięki geniuszowi Matejki.

Wystawa dzieł Lessera powinna miłośników i badaczy sztuki rodzimej zainteresować żywo, a komitetowi powinszować można inicjatywy w tym względzie.

Sympatycznym wielce i pięknym upominkiem obdarzeni też zostali w tym roku członkowie Towarzystwa; na premię rozesłano im kopię świetnej akwarelii Juliusza Kossaka, wykonaną w chromolitograficznym zakładzie Lemercier'a w Paryżu, a przedstawiającą „króla Jana III, polującego z dworem swoim na czaple.“

Przyznać należy, że jest to jedna z najudatniejszych prac artysty, a wybór jej uważamy za bardzo szczęśliwy, podobnie, jak wykonanie kopii pod każdym względem staranne i wiernie odpowiadające oryginałowi.

W rozwoju i powodzeniu interesów Towarzy-

stwa zachęty sztuk pięknych mamy nowy dowód, jak energia, pomysłowość i dbałość o cel przedsięwzięty, nawet u nas, nawet w niepomysłnych warunkach, popłacać muszą i pożytek przynoszą.

CZECZOTKA

Powieść z dawnych czasów

przez

Piotra Jaxę Bykowskiego.

Ongi w Ziemi Buskiej—dawno już temu—w kotlinę wydrążoną pomiędzy niebotycznymi skałami, okrytymi lasem, wglębła się maluchna, ale bardzo wdzięczna wioszczyzna; tak zaś sobie zasiała skromnie i cichucho, jak u Boga za piecem — i słusznie mogłoby się zdawać ludziom, Boga w tem zaciszu chwającym, iż nikt nazewnątrzą o nich nie wiedział; nieznanący bowiem tego zakątka, a takich było niemało, śmiało mogliby przypuszczać, iż na tem urwisku świat się kończy; nie było zaś Kolumba, któryby poza temi niedostępnymi skałami chciał odkryć nową ziemię, co zresztą byłoby zbyt cennym, bo i tak wówczas mieli jej ludzie podostatkiem, a nikomu roli nie zbrakło.

Co prawda, że w tej zapadni nie było się o co kusić, gdyż ani obszary, ni też żyzność gleby, napół kamienistej, napół gliniastej, ni bujność łąk i tym podobne zalety i wygody gospodarskie, niczyjej-by nie znęciły chciwości. Ktoby tam zasiał, rad nie rad, musiałby przyjąć za godło tę filozoficzną maxymę poety: — „Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim“.

Wszakże, z drugiej strony, oddajmy sprawiedliwość wioszczce onej, że przy skromności i pokorze ducha, było tam na czem poprzestać, a na dowód tego, przyjrzyjmy się bliżej temu ustroniu: jako zaciszne było i spokojne, a nad Boga, siedzącego na wysokim niebie, poza firmamentem i orłów, gnieźdzących się na wyżynach skał, wioska nie posiadała innych sąsiadów; za to też nie narażała się na chciwość i zawiść, intrygi i inne gnębienia śmiertelników. Wprawdzie mieszkańcy wioski, żyjąc z naturą i stworzeniami bożemi, nie obdarzonymi duszą nieśmiertelną i wolną wolą, pozbawieni byli wielkiego daru miłości bliźnich, lecz tem się pocieszali, że i złość bliźniego ich nie dosięgła.

U skał podnóża, gdzie się już strome góry ku płaszczyznom pochylały, spostrzegales tam i ówdzie poletka tu porane, to bujnym już zbożem okrytych; dalej zieleniała łączka, na niej pasły się, niezbyt wprawdzie liczne, ale dorodne i wesołe trzódki; a znać wszędzie było, iż to wszystko praca i usiłowania ludzkie jakby z twardego wykrzesaly krzemienia. Tę szczupłą, ale wdzięczną przetrzeźnię przecinał przez środek wązki, jednak wartki potok, na nim zaś para młynków dniem i nocą żwawo warczała. Indziej znów przy kilkunastu ulach, w odosobnionej zacisznej zagrodzie, pracowite pszczołki brzęczały. Wszystkiego zaprawdę było tam, nie w bród, nie po pas, tylko skromnie i maluczko; atoli, czyliż to tak wiele człowiekowi potrzeba? — A białe chatki chłopów czepiały się, jak która mogła — u podnóża skał, otaczając się warzywnymi ogrodami i drzew owocowych zielenią.

Aliści przy tej miernocie ludzkiej, nie zapomniano i o chwale bożej, a doczesnem śmiertelnym wytchnieniu. Na odrębnym ułamku skały, wśród pięknej drzew zieleni, wznosiła się kształtna kapliczka o czerwonej kopułce, a u nóg jej krzyże i mogiły przykrywały tych, co tam po pracy na wieczne pokładli się spoczynienie.

A więc wszystkiego dostarczało ciche ustronie swoim mieszkańcom i niczego poza jego obrębem szukać nie potrzebowali. Miales tam karm ducha i ciała, a tyle po znoju pożądany spoczynek — słowem: zaspokojenie wszystkich potrzeb krom

ambicyi, nieznannej skromnym wioski mieszkańcom.

Zaiste, było tam tak zacisznie i spokojnie, iż można było nie wiedzieć o świecie, jego troskach, zabiegach, złości i wielkości, a nawet nie wiedzieć, że jest ład stały poza stromymi skałami; gdyby na jednym ich wierzchołku, w oddali, nie piętrzył się pyszny zamek, którego wieże i baszty, widziane z poziomu wioszczki, tonące w obłokach, zdawały się grozić zwysoka spokojnym mieszkańcom, iż się kiedyś zwałą na nich i gruzem ich swoim zasypią.

U przyczółka jednej z mniej stromych skał, w zacisznem wglębieniu, przez samą naturę z bujnych drzew i krzewów utworzonem, przyparła się zagroda dziedzica. Otaczał ją piękny i starannie pielęgnowany ogród warzywny i kwiatowy, gęsto przeplatany owocowymi drzewami; w głębi zagrody przyslonił się schludny dworek, różniący się tylko tem jednym od zwykłych szlacheckich, iż był przydłużony nieco, a niezadawalniając się wedle przyjętego obyczaju, jednym ganeczkiem, posiadał ich aż dwa, w symetrycznej odległości, na obu końcach domu.

Możnaby się było nie zastanawiać nad powierzchownością tej skromnej siedziby, gdyby nie pewien szczegół ściągający uwagę, że jedna połowa dworku była wybielona wapnem, a miała zielone okienice i takie słupy przy ganku, druga zaś, przy żółtym kolorze ścian, miała okiennice czerwone i takiejsamej barwy słupy przy ganku; rozdzielone owemi kolorami jakby pod cyrkiel, obie połowy dworku, tak co do konstrukcyi, jak i rozmiarów, w niczem się nie różniły pomiędzy sobą; jedna je nawet strzecha słomiana, bez żadnego podziału, pokrywała.

Po obu połowach zagrody gospodarskie zabudowania w głębi podwórka, grzędy kwiatów, klomby drzew, wszystko było jednakie, jedno z drugiego naśladowane, tak, iż zdawało się, że obie połowy odbijały się wspólnie, jakby w zwierciadle, i zaledwie oswojone z miejscowością oko mogłoby tam dopatrzeć jakiejś niezuważnej różnicy, którą kapryśna roślinność sama zaprowadzała.

Przez całą długość głównej ściany dworku ciągnęła się jedna przyźba, na której znów odmiennego barw stanowiła, jak na całym dworku, ową fikcyjne przepołowienie. Na przyźbie siedzieli mąż i niewiasta, chociaż tuż obok siebie, pierwszy jednak po stronie żółtej, druga po stronie białej. Oboje, acz nie pierwszej młodości, byli w sile wieku, trudnej do dokładnego oznaczenia; możnaby śmiało pomiędzy oboje setkę lat rozdzielić, któremu zaś z nich mniej lub więcej niktby ze ścisłością matematyczną nie oznaczył; oboje bowiem trzymali się rzeźwo i czerstwo, a jesień życia piękną pogodą odbijała się na ich rumianych obliczach.

Niewiasta, odziana w sycową jubkę i drademową kacawejkę, ustroiła głowę prostym białym kornetem o czerwonej kokardzie, który dobrze się stosował do świeżej i nieużytej cery — a mając przed sobą pasma nici na motowidle, starannie je w kłębki zwijała. Całkiem oddana tej robotce, mniej zwracała uwagi na sąsiada, który, trzymając na kolanie deszczułkę z czarnego drzewa, kreślił na niej kredą jakieś cyfry; to je mazał, to nanowo wystawiał, tarł głowę, to namyślał się głęboko, tak, iż, gdyby nie wąs sumiasty, twarz rumiana, okrągła, a ogorzała, czysto-szlachecka, wzięłbyś go co najmniej za Newtona zacieczonego w swój binom; przerywał sobie tę robotę częstem mruzeniem:

— Hm! hm! wozowica, grobla, dożać poletek pod cmentarzem, hm, i tak źle i tak niedobrze!...

Naostatek, zniecierpliwiony, stuknął z passyą kredą, aż się rozsypała, a zwracając się do sąsiadki, prawil:

— Ot, powiem jejmości, że gdybym był królem, dałbym koronę w tym momencie za jednego chłopca i dwie baby, bez czego nie mogę się polapać w gospodarce, bo to taki czas gorący jak w piekle. Te deszczyska wszystko do góry nogami wyrócili: tu niedożęte, tam niedowiezione, a jeszcze kaci nadali, że groblę podmyło... no, i trzebaż było Walkowi umierać w taki czas gorący — nie mógł poczekać do zimy! Maryna potrze-

bnie spadła ze stożka. A niechże to wszyscy dyab...!

— Jegomość! jegomość! — przerwała trwożliwie niewiasta, kreśląc wielkim palcem krzyż na medaliku, wiszącym na piersi — dajcież pokój złym duchom, nie wywołujcie ich z piekiel. Przecież ojciec Hugon powiada, że kiedy jeszcze szatan usłucha i gotów stawić się na wezwanie.

— A niech się tam sobie stawi, byleby mi dał dwie baby i chłopca na jutro, a dzień pogodny! — wrzasnął jegomość, nie hamując się.

— Jegomość, jegomość! Bóg z tobą! — wtrąciła bardziej przerażona niewiasta, a podniesionym medalikiem krzyż w powietrzu nad głowę towarzysza nakreśliła.

— *Mea culpa, mea culpa.* Słusznie powiadacie jejmość, bo to ta gęba ludzka, jak wrota popsute, przez które wszystko się przeciska — prawil jegomość uspokojony, pokornie uderzając się w piersi.

Ale to widzicie jejmość — ciągnął już bez gniewu po odprawionej pokucie — jako dobrze jest powiedziano: że „małe gospodarstwo, wielkie kłopotarstwo“.

— Ej nie bluźnijcie jegomość, a raczej chwalmy Boga, że nas na takim trzyma, i prosmy Go, żeby i dzieci nasze przy nim pozostawił.

— Ono-to słusznie, ale zawsze zkaż to na jutro wezmę dwie baby i jednego chłopca? — mruzczał jegomość, trapiiony pierwszą myślą, tracąc w zakłopotaniu podgołną czuprynę.

— A gdyby i tego nie było, co jest, musiałbyś jegomość sobie radzić...!

— Jeszcze i tego nie ma być, to już niepodobieństwo, a gdzież-by się podziało u dyab...? — wrzasnął niecierpliwie.

— A owoż się podzieje, bo mnie koniecznie potrzeba dwóch bab do lnu, dwóch do konopi i parobka z wozem... rozpoczynała jejmość.

— Co?! — wrzasnął jegomość z głębi silnych płuc, aż wszystkie skały echem głośnym zawtórowały — czyż jejmość oszalała, czy w malignie? A niechże tam te konopie z lnem razem trzykroć sto tysięcy...!

— Ja tam niczyjego żyta, ani owa nie przeklinam; proszę się nie mieszać do moich konopi — przerwała niewiasta trochę żywiej, widocznie zniecierpliwiona.

— Już temu nikt nie zaprzeczy, moja jejmość, iż żyto i tatarka, a upust pod młynem pierwsze od wszelakich babskich lnow i konopi — i czegoż to jejmości tak pilno?

— A jużciż pilno, moi także próżnują. — To niech idą do wozowicy albo żniwa, zresztą do grobli.

— Wiesz przecie jegomość, iż obaj staną, i Grzela i Wawrek, a choć przy warsztacie dobrze się krzątają, już nie podolają innej robotcie.

— Ależ pytam: czego wam tak pilno?

— Jeszcze jegomość pytaacie? Przecie Justek za trzy tygodnie, po wakacyach, wraca do collegium: chciałabym mu przygotować drelichu w paski niebieskie na ferezyjkę...!

— A to co za nowe zbytki! Niedosć smarkaczowi szarego płótna! — ofuknął jegomość.

— Przecie już promowany na „poetykę“, rok ośmnasty chłopakowi, a dobrze się uczy.

— Za toż nie dostał w skórę; ale nie widzę, moja jejmość, co ma drelich w paski do poetyki?

— Trudno, ażeby chłopak, któremu się wąs zasiewa, a dotego taki stateczny i rozumny, nosił się, jak żaczek jaki, w zgrzebnej bluzie.

— Gdybyś to asindzka powiedziała o Zosi, to rozumiem, bo dziewczyna ma zawsze strojnziej wyglądać, to już jej białogłowskie rzemiosło, a jejmość ją odziewasz w syce i płócienka, jak służebną.

— Co tam jegomości do tego? Niech dziewczyna nie uczy się mizdrzyć zawczasu; ona nie na wielką panią stworzona.

— Justek też nie na panicza! jejmość go swojemi karesami rozpróżniaczasz tylko. Patrz-no i teraz: zamiast, żeby przy grobli pracować, co on robi?

— Co też jegomość pleciesz? — do grobli szlacheckiemu dziecku?

— A cóż? ma się bawić czyszczeniem flinty i naprawą sieci?

— Od tego wakacje, żeby umysł po nauce odpozął. On cały rok pracuje... ale Zosia, spojrzj

jegomość, toż dopiero próżniaczka! Czy nie mogłaby pleć grzedy, albo do krów się dowiedzieć? a ona sobie wianki splata. Jaka mi dworska pan-na! Zaraz ją do kądzieli napędzę!

— Kiedy tak, to ja Justka do grobli!

Po tych słowach groźby oboje starzy skierowali się w głąb ogrodu, gdzie na darniowej ławeczce, otaczającej stuletni modrzew, siedziało dwoje młodych, a nawet bardzo jeszcze młodziutkich. Chłopiec, wysmukły o czarnej bujnej grzywe, czarnem bystrem i przenikliwym oku—zaledwie ciemny puszek wargę mu wierzchnią przypuszał,—całą uwagę skupił na strzelbę długą szwedzką, którą miał przed sobą i miłośne w niej utopił spojrzenie: widocznie że był to przedmiot nowy, niedawno przezeń posiadany; czyścił lufę, to zamki, poczem przyglądał się ich połyskowi w słońcu, to próbował czy skałka mocno osadzona, to dmuchał wewnątrz, ciesząc się owocami swych usiłowań; dla urozmaicenia tego zajęcia, zwracał się od czasu do czasu, do siatki osadzonej na zatkniętym w ziemię kiju i poczynił szybko machać drewnianą iglicą.

— Ile to ja ci, Zosiu, ptaszków nałapię—ozwał się do siedzącej obok towarzyski, dziewczki o długich płowych kosach, niebieskich jak haber oczach, koralowych usteczkach, która również była zatopiona w poważnym zatrudnieniu; mając bowiem przed sobą cały stożek kwiatów, starannie dobierała ich barwy do zwijanych wianków i girland.

— Nałap ich tylko, ile chcesz — odpowiedziała słodkim głosikiem dziewczyna — to ja słabsze przetrzymuję, silniejsze powypuszczam, ale tylko nie zabijaj ze strzelby, bo ja na to okrucieństwo patrzeć nie mogę.

— Przecież ci przyrzekłem, Zosiu, że tylko będę strzelał jastrzębie, sępy i inne szkodliwe ptactwo.

— Pamiętaj-że, Justku, dotrzymaj przyrzeczenia, bo przestałabym cię kochać. A wiesz co, Justku? Gdybyś ty mi złapał w siatkę młodego jastrząbka, ja go sobie wychowam.

— A to doczego? Jeszczeby ci piękną buzię podrapał.

— Alboż to ja dziecko? nie umiem się z ptakami obchodzić? Pamiętasz tego sępa, co mi uciekł: wychowałam go od pisklęcia, a nic mi przecie nie zrobił złego. Ale patrzaj-no, Justku, jakie to ja girlandy związałam do naszego ołtarza, a jak go ustroję od samego wierzchu — bo tobie tak pięknie, kiedy służysz do mszy pomiędzy kwiatami... A jak ci komeszkę uprałam ślicznie, a ogarniowałam taką delikatną siateczką, własnej roboty, jak pajęczyna. Matuchna darowała mi amarantowy fontań od swego korneta, i zrobiłam ci taką elegancką kokardę, że sam Ojciec Hugon nie ma podobnej.

— No, toż cię za to uściskam, moja Zosiu.

— No, no, tego nie, bo mama mówiła, że będzie czas na to, ale teraz nie można; poczekaj aż się kiedyś pobierzemy — odparła dziewczyna figlarnie, usuwając się od chłopca i zastawiając drobną rączką jak tarczą.

Czy to nie można poważnie rozmawiać, jak tatko z mamą? Ale posłuchaj, Justku — dodała Zosienka smutno, kiwając głową — od wczoraj za trzy tygodnie ty już pojedziesz do tej nieznośnej szkoły. to już ani jednej girlandy nie zwinie. Doprawdy, nie rozumiem do czego ta szkoła i to na tyle lat, bo czyliż ty głupi, żebyś się jeszcze uczył? Przecie nie będziesz filozofem ani księdzem, ale takimsamym gospodarzem, jak tatko?

— Przecie słyszałaś, Zosiu, co powiada O. Hugon, że nauka w każdym stanie się przyda, a zresztą, czyliż mi tak jeszcze długo? Poetyka i teologia — i po wszystkim!

— Cóż to za niegodziwe gadanie! Znać, żeś tobie nie jest miłą, jak ty mnie — odparła nadąsana dziewczyna — Toż całe dwa lata, nim wrócisz z tego kollegium do domu. Ja będę miała rok siedemnasty, zestarzeję się, a tymczasem i oczy wypłaczę.

Po tych słowach dziewczyna, zakrywszy twarz rękoma, jęła płakać pocichu; chłopiec pocieszał ją, jak umiał.

Atoli pozostawiając młodych, z których rozmowy, jakkolwiek ważnej i zajmującej dla nich, niewiele się dowiemy — wróćmy do starszej pary, którą widzieliśmy w zamiarze rozerwania miłego odosobnienia młodych; lecz nagle w połowie drogi starzy, nie nie powiadając głośno, jednocześnie rzekli sobie w myśli:

— Póty ich szczęścia, póki młodzi — i jednocześnie zajęli na przyźbie dawne miejsca.

Jegomość, z rozproszonych kawałków rozbitej kredy wyszukawszy największy, znów przy gniewnem mruczeniu jął kreslić swoje hieroglify, jejmość z widoczną irytacją zwijała nici na kłębek; pomiędzy obojgiem zawisła czarna chmura niechęci. Niewieście, jako należącej do płci wielomówniejszej, widocznie ciążyło przy dłuższe milczenie: zatem pierwsza je przerwała, mówiąc jakby do siebie i wskazując palcem wierzchołek góry:

— Oho, kurzy się „grzbiet dachów“, to już niezawodny prognostyk ulewy na jutro, albo jeszcze i w noc.

— A niech-że to wściornasty! Miłe przepowiednie! ale żeby dzikie bestye jutro z nieba padały, to nic nie pomoże: nie dam jejmości ani jednego paznogcia, nietylko człowieka!

— Nic mi na tem nie zależy, czy jegomość dasz czy nie dasz: sama wezmę co mi potrzeba, przecie tak dobrze jestem sobie tu panią, jak ktoś panem i nikogo prosić nie myślę — wypowiedziała niewiasta stanowczo, nadspodziewanie zdobywając się na odwagę.

— Kiedy tak, mościa pani, kiedy wam moja opieka i moje dobre chęci ciążyą, to separujmy się ostatecznie. Od tego momentu nie wtrącam się do spraw jejmości, proszę sobie gospodarować, jak się podoba.

Po tych słowach, ciężko sapiąc, wstał z przyźby i usiadł na czerwonym ganku, odwróciwszy się od zielonego, w którym w tejsamej postawie usiadła niewiasta; że oba ganki były w niewielkiej odległości, oboje więc zagniewani nie przestawali mruczyć, niby to do siebie, wszakże każde mruczało w ten sposób, ażeby być słyszanem przez przeciwnika.

— Obaczmy, jak to pójdzie owo babskie gospodarstwo i czy daleko zajdą tkacze o suchym pysku! — mruczał jegomość.

— Ciekawa jestem, kto to całą czeladź obszyje; niezadługo tu panowie i słudzy będą świecili łachmanami! — odmrunknęła jejmość ze swego ganezku.

— Pomalowała się na zielono jak żabka majowa. Proszę, czy jest w tem sens? — znów zaczynał jegomość.

— A jużci nie na żółto-gorąco z czerwonym, jak dudek — odplaciła jejmość.

— Gadaj-że tu babom o heraldyce! jedno co kozie o pieprzu. Jakby to nie można pojąć, iż żółte z czerwonym to barwy klejnotu Prawdzica, gdzie lew żółty z czerwonego muru wychodzi; ale obaczmy przy nowem gospodarstwie, jak się długo ta zieloność utrzyma. A no, proszę, grozi mi, deszczem jak czarownica....

— Straszy mnie jegomość separacją, jakbym to bez niego radzić sobie nie potrafiła; obaczmy: która koza wprzód przyjdzie do woza?

— Obaczmy, obaczmy!

Pomimo tych nieustannych przyceinków, których próbkę podaliśmy, jegomość był ciężko zasępiony, co chwila tarł czuprynę i targał wąsa, a jejmość ukradkiem chustkę przykładła do oczu.

— Widzisz, Justku, zaczyna się separacja pomiędzy rodzicami, której ty nie znasz — szepnęła dziewczyna do towarzysza.

— I często się przytrafia? — i trwa jak długo? — spytał Justek.

— Parę razy do roku, i trwa czasem dni kilka, dopóki O. Hugon nie pogodzi. A jak tu pod ten czas w domu nieznośnie! wszystko do góry dnem się wywraca, bo żadne z rodziców do niczego się wtrąca, a domowi robią, co im się tylko podoba.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MIŁOŚĆ STEFANA GARCZYŃSKIEGO

Na podstawie nieznanych pism poety

podał do druku

Józef Hieronim Rychter.

(Dalszy ciąg).

Poeta bywa czasem zazdrosnym:

Jeśli smutną łzę ubocz samotnie ocieram,
A ty z innym gawędząc, nie dbasz o przyczynę,
Wtedy — umieram!

Lecz jeżeli ona zimno przyjmuje „innych przyjaciół“ (zapewno byli starający się o względy nadobnej Aliny) i okiem miłości tylko na niego patrzy — wtenczas....

I bóle uciekają i ja znowu żyję!

Myśl i uczucie.

Spiewać muszę: pierś zmiękczońska
Czuciem serce wyłamuje!
Niech więc myśli raz zasłona
Spadnie! Niech myśl z sercem czuje!

Niechaj ona bardon stroi,
Niechaj zadźwięczy w niebiosy,
Niech przeszłością się napoi,
Bylem jej usłyszał głosy!

Taką chęcią myśl zakłęta
Czucia lutnią już porywa,
Lecz zaledwie pieśń zaczęta,
Struna pęka — myśl ją zrywa.

Ja zakładam nową — stroję —
Teraz pewno mi zaśpiewa....
Znowu niecierpliwym stoję —
Ucho piosnki się spodziewa.

Lecz zaledwie boska ręka
Lutnią wzięła — brzękła struna,
Znowu w drganiach ona pęka,
Głos jej wdzięczny znowu kona!....

Snowana nie złota romansu poety — z niewiadomej przyczyny rwać się poczęła. Zresztą, zdaje się, że romans ten nigdy nie mógł zakończyć się trwałym stosunkiem. Stawała tu na przeszkodzie z jednej strony problematyczna karyera samego poety, z drugiej zaś rozmaite okoliczności w życiu, z którymi liczyć się musiał, a które nie dozwalały mu przedsięwziąć nic stanowczego.

W wierszu pod tytułem *Wieczność* znajdujemy (po przesłicznym porównaniu bujnej fantazyi do rwącego się rumaka) ustęp będący wyrazem częściowego zwątpienia poety co do wzajemności Aliny:

Czemuż dzisiaj, Alino, dusza moja dzika
Już po gwiazdach nie biega — granicy nie szuka,
Tylko czasem do serca twojego zapuka,
Gdy w oczach pięknych czyta, że wzajemność
[znika?....

Dlaczego szła młodości tak prędko ustąpił?
Dlaczego dziś przekładam spokojność milczenia?

—Anioł nieśmiertelności do duszy mej wstąpił,
Anioł w twojej postaci duszę mą odmieniał

Wątpiąc o wzajemności ukochanej istoty, poeta uświęca cel swojego życia we własnym uczuciu. Musiał więc mieć jedną wielką zaletę męzkiego charakteru: wyrozumiałość!

Mimo to, chętnie pieści się marzeniami o miłości odpłacanej wzajemnością — czego dowodem wiersz pod tytułem:

Sen.

....Na miłości wstążeczkach myśli kołysane
W tysiącznych przypomnieniach z twym bóstwem
[igrały!
Bo wolność sen im nadał, a sercu oddane,
Pierwszy raz, czem jest szczęście, prawdziwe po-
[znały.

Dwa mi słówka wyrzekłaś—ale takie słowa,
Że treściwość ich każdą melodią przechodzi.
Nie wiem, czy je powtórzyć na jawie się godzi?
Kocham cię! oto była ich prosta osnowa!

Ledwie rzekła—a życia mego bluszcz obfity
Po wszystkich wdziękach twoich pięć się rozpo-
[czyła,
I na dół liść zawiesza—i w górę rozpina,
Jakby słowem odebrał jakiś popęd skryty.

Ledwo rzekła, Alino.... zdrój myśli wytrysnął!
W jeden punkt czucia, wszystkie zbiegają się siły;
Płomień pięknej nadziei nanowo zabłysnął.
A tony harmonijne w sercu zadźwięczyły!

Przytaczam dalej opowiadanie tego snu, albo-
wiem obrazy w nim zawarte, dadzą nam poznać
całą skalę uczucia poety, doprowadzoną aż do po-
święcenia, a chociaż to tylko sen, to przecież praw-
dą jest, że jeno prawdziwie miłującemu czło-
wiekowi senna hallucynacja nasunąć może takie
obrazy.

Sen jeden drugi spychał—jako szmer strumyka,
Który krople tysiączne tysiącznymi pędzi,
Albo jak owa mara optycznych narzędzi,
Ledwie oko zaflechce—zaświeci—i znikal

Śniło mi się, że jakieś pyszne okolice
Z tobą razem zwiedzałem, na twym ręku wsparty.
Słońce pięknie błyszczało—a wdzięczne krynice
Żyłowały z kwiateczków dywan rozpostarty.

Gdzieniedzie jesion długie wyciągał ramiona,
Fiołek przy nim klęczał—tam myrt lilią witał,
Tu *delfinium* szkarłatne rozbiło nasiona,
Piwonia klomb tworzyła, pączek róży świtał.

Tam i wierzba płacząca cienie swe rozkłada,
Tam każdy szczep odrębnie z myślami obcował,
Tam wszystko o miłości, Alino, powiadał....
Tam każdy kwiat się kochał i słońce całował!

I ptaszęta nuciły piosenki miłosne,
Motylek się kołysał, a wietrzyk swawolny,
Jako myśl każdą piękność ucałować zdolny,
Wszystkim kwiatkom przesyłał uściski radosne.

Tam długom chodził—gdy w tem sennie czary
Stwarzają skał urwiska, niedostępne mury,
Na których, szancony siłami natury,
Zwieszał się, nad jeziorem, jakiś zamek stary.

Czas mu natłoczył *mechem* piętno swej potęgi,
A gdzie dawniej człowieka były dumne blaski,

Dzisiaj puszczyk odludny rozwodzi swe wrzaski,
Albo piorun przypadkiem błysków rzuci wstęgi.

Słyszałem, jak szum wody pęd swój rozhułkany
Z zaszumiła wściekłością rozbijał o brzegi,
Jak się coraz zwiększały ciasne wód obiegi,
I padał w dziki odmet urwisk—potrzaskany.

Huk był wielki jak piorun, a wody rozbicie
Po trzykroć głucho echa powtórzyły wkoło....
Gdy w tem — o Boże wielki! w ponad chmurnym
[szczycie
Oko ciebie spostrzeża—tyś wzniosła twe czoło.

I luźne zpod twej nogi spadają gruchoty,
I wzrok twój smutny w dzikich przepaściach spo-
[czywa,
I orzeł cię okrąża wielkimi poloty,
I chwiać się już zaczynasz—przepaść cię porywa!..

Stanąłem w osłupieniu, jak posąg grobowy—
Ale ty jeszcze żyjesz!.... jeszcze błędne oko
Po przepaściach do ciebie wspina się wysoko.
Poczekaj na mnie chwilę—ja'm umrzeć getowy!..

I rzucam się na skałę. Próżno! kruche ściany
Łamają się pod mą nogą—buchają tumany;
Nic mię wstrzymać nie może. Jak robak się wspinam;
Już pół drogi przebyłem.... oddychać zaczynam....

Ale patrz: nowa przepaść—nowe skał rozcieki!
Słyszę z gardła otchłani, jak dzika śmierć wyje...
Zmysły moje koluja—serce żywiej bije—
Alino, bywaj zdrowa! ja ginę na wieki!

Już tysiączne kamienie na dół się zwały,
Jeden pęd drugi wzmaga, grzmot grzmoty roztrąca.
Już znowu na dnie dzikiem głucho się odbiły....
Wszystko ginie, jak myśli, które miłość zmała!

Już mnie otchłani porwała, już przepaść bezdena,
Wirem mnie swym unosi, już prawie umieram,
Gdy czuję blask nieznan, bo już gwiazda dzienna
Staneła na niebiosach.... ja oczy otwieram!....

Był to tylko sen, powiada dalej poeta, lecz ja
czuję w nim potęgę mojej miłości.

(Dokończenie nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów, w Kwietniu 1885 r.

Wystawa Sztuk Pięknych na dochód wdowy po ś. p. Redlichu. — Nowe książeczki wydawnictwa ludowego. — Herbaciarnia ludowa. — Karol Wild, księgarz.

Wystawa obrazów, rzeźb i rysunków, urządzo-
na staraniem tutejszych artystów na korzyść
wdowy po ś. p. Redlichu, przedstawia się bardzo
sympatycznie i przeszła nawet pierwotne oczeki-
wania. Znajduje się tu wprawdzie wiele rzeczy
znanych już nam z wystaw dorocznych Towar-
zystwa sztuk pięknych, ale są to po większej
części dzieła tego rodzaju, które im częściej się
ogląda, tem więcej zalet w nich się odkrywa, tem
lepiej wartość ich ocenia. Piękny to był pomysł
uczczenia pamięci znakomitego rzeźbiarza przez
urządzenie tej wystawy, a zarazem podania po-
mocnej ręki osieroconej rodzinie. Wykonaniem
zamiaru, który znalazł jaknajprzychylniejsze przy-
jęcie u artystów, tak, iż chętnie prace swe na ten
cel ze wszystkich stron nadesłali, zajęli się głów-

nie p.p. Sozański, Młodnicki i rzeźbiarz Błotnic-
ki, a gdy dodamy, że powiodło się zgromadzić do-
bór dzieł, pomiędzy którymi znajdują się prace
Matejki, Siemiradzkiego, Kossaka i innych młod-
szych, z talentem i zapalem oddających się za-
wodowi swemu malarzy naszych, to nikt już po-
dobno nie zaprzeczy tego, co powyżej powiedzia-
łem, że wystawa przeszła oczekiwanie.

Przejrzawszy katalog, obejmujący sto kilka-
dziesiąt dzieł rozmaitego rodzaju, szukamy naj-
pierw, rzecz naturalna, sztychów Redlicha. Jest
ich tu wprawdzie za mała liczba, aby przed-
stawiły genezę talentu artysty i wskazały wszyst-
kie przeobrażenia, wszystkie etapy w jego roz-
woju. Ale i te, co są, rzucają charakterystyczne
światło na rodzaj talentu i sposób pracy zmarłego
w sile wieku artysty; są niby błyszczącymi wy-
tyczniami jego postępów i doskonalenia się wska-
zówkami i dają dostatecznie poznać, jakie w za-
wodzie swoim zajął stanowisko. Gdy się patrzy
na te piękne dzieła rytownicze, pełne zalet, żal
pomysleć, że ręka, która je wykonała, nie dorzuci
już nic więcej do skarbnicy sztuki naszej.

Obok znajdujemy Matejki *Głowę mnicha* i dwa
dawniejsze szkice olejne *Śmierć Wapowskiego*
i *Władysław Biały, Książę Gniewkowski*; Siemiradz-
kiego *Dwa popiersia kobiece*, malowane z nieporów-
nanym wdziękiem, na tle w kwiaty przedstawia-
jącym wzory gobelinowe, bardzo umiejętnie i har-
monijnie zastosowanem do charakteru głów obu.
Dwa większego rozmiaru obrazy Kotarbińskiego,
podobnie znane z dawniejszych wystaw tutej-
szych, nasuwają oczom widza świat starożytny,
społeczeństwo rzymskie z czasów jego upadku
i zepsucia. Pierwszy przedstawia biesiadę ary-
stokratycznego towarzystwa rzymskiego; drugi
grono akrobatów i kuglarzy, popisujących się
także w domu patrycyuszowskim. Obrazy te po-
siadają mianowicie pod względem układu i kolo-
rytu, tudzież całej charakterystyki, zalety niepo-
spolite. Świat rzymski przedstawiony tu z ca-
łym, że tak powiem, przepychem swego upadku,
z całą wspaniałością swej architektury, swego
nieba i swej kwiecistej przyrody, swego zbytku
i swej rozpusty. Rzecz wystudowana doskona-
le, a wykonana naporóż niedbale, sposobem no-
wej szkoły włoskiej; ale w tem pozornem zanie-
dbaniu, tworzącem niby tylko szkic do obrazu,
mieści się tak wiele harmonijnego wdzięku, tyle
piękności, od niechętnia rzuconych, a pomimo te-
go żywo się uwytatniających, że odnosi się wra-
żenie zupełne i silniejsze może, niż gdybyśmy
mieli przed sobą obraz drobiazgowo we wszyst-
kich wykończony szczegółach.

Wojciech Kossak, który dał się poznać, jako
malarz bitew, kilku już pięknymi kompozycjami,
przysłał tym razem niewielkiego rozmiaru scenę
Zasadzki, przedstawiającą kawalerzystę, broniące-
go się z prawdziwie żołnierskim zacięciem i od-
wagą, nacierającym nań z kilku stron przeciwni-
kom. Gersona jest kilka rzeczy rozmaitej treści,
jak *Głowa Chrystusa*, *Widoki Szczawnicy*, i t. p.
Grabowskiego Andrzeja, *Portret mężczyzny w pol-
skim stroju*, naturalnej wielkości, wybornie ma-
lowany, szkoda, że nie ze wszystkiem ukończony.
Zasługują jeszcze na uwagę w tym dziale Ryb-
kowskiego *Cyganka*, Rodakowskiego *Grupa wie-
śniaków*, zdjęta z natury, i dwie przesłone głowy
kobiece Stachiewicza, wyobrażające typ włoski,
każda w odmiennym rodzaju, ale obie z prawdziwie
poetycznym oddane wdziękiem. We wzroku pło-
nie żar południowy, a czoła jakby przesłonięte
mgłą marzenia, w smętną dal płynącego. Z krajo-
brazów jest parę wdzięcznych z natury zdjętych
widoków Grabińskiego, kilka widoków górskich
Jaroszyńskiego z okolic Pokucia, na koniec dwie
cenne pamiątki: obraz architektoniczny ś. p. Gry-
glewskiego i Kotsisa *Podwórze starożytnego domu
w Kownie*.

Najbogatszym jest dział akwarelli, zajmujący ca-
łą jedną salę. Znajduje się tutaj kilkanaście obraz-
ków Juliusza Kossaka, przedstawiających po naj-
większej części konie; oprócz tego jest tegoż sa-
mego artysty bardzo wdzięcznie malowany małego
rozmiaru widok *Kapliczki nad Wisłą*, tem powa-
bniejszy, żeśmy przyzwyczajeni lubować się Kos-
saka końmi i kompozycjami historycznymi; jest
to zatem nowość, tworząca miłą niespodziankę.

Kronika działalności kobiecej.

Dalej mamy tu dwa widoki górskie Zacharyewicza, profesora architektury na tutejszej politechnice i tegoż plan na kościół w Zarzeczcu, Tępy parę prac dawniejszych, typowy portret wieśniaka i orkę na Podolu czterema wołmi. Najwięcej do urozmaicenia tego działu przyczynili się dwaj młodzi, pełni talentu akwareliści, Lachner i Sozański. Oba mają tu po kilkanaście obrazów typowych, świadczących zarówno o wybitnym talencie, jak o wysoko posuniętej technice, i o zmysle artystyczno-spostrzegawczym, który pcjmuje naturę i wydobywa z niej to, co jest charakterystycznym, co znamionuje jej ducha i tworzy jej istotę. Typy Lachnera, zdejmowane po większej części za granicą, przenoszą nas w strony obce, zaznajamiają ze społeczeństwem rozmaitych krajów i narodów. Tu uroczo spogląda Francuzka w kostiumie Watteau; tam Arab opalony przypomina skwar puszczy i pierwotną cywilizacją Beduinów; przepysny jest Żebrak Włoski patrzący z góry na tych, u których żebrze z taką postawą monarszej dumy, jakby oni żebrali, a on rozdawał, owinięty w swój lachman, jakby płaszczem koronacyjnym. Pod oknem kochanki młodziuchny trubadur rozbiera w duszy, pohamletowskiemu pytanie: „Czy jej zaśpiewać?“ Tam znowu groźnie patrzy Serb uzbrojony, obok poważna postać kardynała, a pomiędzy tem widok Luwru, jakby na dowód wszechstronności talentu.

Powieść Sienkiewicza *Ogniem i mieczem* zwróciła na siebie uwagę i zajęła ołówki wszystkich niemal ilustratorów naszych. Całe z niej sceny, grupy lub pojedyncze postacie, mniej więcej udane, spotykamy niemal na każdym kroku po wszystkich albumach, pismach ilustrowanych i po wszystkich wystawach handlowych rysowniczych i obrazkowych. Począwszy od Kossaka, ledwie że nie każdy z naszych artystów próbował według swego pojęcia odtworzyć jedną lub drugą postać tej powieści. Pomiedzy akwarellami Lachnera znajdujemy także towarzysza z chorągwi pancernej Skrzetuskiego i Bohuna, w którym jednak powiedziałbym, zamało znać duszy kozackiej. Lachner celuje nie tylko w akwarelli. Są tu wystawione dwa jego obrazy na porcelanie, dwa talerze bardzo pięknie malowane, jeden w stylu włoskim Odrodzenia z głową kobiety, drugi w takimże stylu niemieckim. Malowidło tego rodzaju wymaga osobnej sztuki, osobnego znanstwa techniki; barwy bowiem zmieniają się przez wypalanie naczyń. Trzeba zatem poznać dokładnie ich właściwości, aby powiedzieć z góry, jak będą wyglądać po wypaleniu, i stworzyć sobie w myśli taką kombinacją barw, któraby po wypaleniu harmonijnie się przedstawiała. Malarz ma tutaj podobne zadanie, co ogrodnik artysta, zakładający park angielski, który, jeżeli ma stworzyć coś istotnie pięknego, musi z góry w swej wyobraźni obliczyć dokładnie rozmiary klombów i kombinacje rozmaitych gatunków drzew i krzewów, jak będą wyglądały, kiedyś po upływie pewnego przeciągu lat, gdy się należycie rozrosną.

Sozański spótzawodniczy w wielu względach z Lachnerem. I on kształcił się dłuższy czas za granicą, we Włoszech, i przepędził lat parę we Florencji, zkąd podobnie przywiózł całe album typów miejscowych, wyborne ujętych, ze wszystkich warstw tamtejszego społeczeństwa. Wiele z nich widzieliśmy na dawniejszych wystawach; niektóre znajdują się także na obecnej. Podobnie, jak w zbiorze Lachnera, mamy pomiędzy akwarellami Sozańskiego przepysny wizerunek kardynała, popiersie starca żebrzącego, panią w stroju z czasów Cesarstwa, wreszcie Bohuna, a nadto kilka jeszcze innych miejscowych, zdjętych z natury, postaci. Z tych najwięcej zwraca uwagi, staranny bardzo pod względem wypracowania a znakomity pod względem zachowania perspektywy architektonicznej, również z natury zdjęty, widok pokoju jadalnego w pomieszkaniu hrabiego D., który-to obraz wielu swemi zaletami przypominał nam nieocenione arcydzieła Gryglewskiego. Odkrywa on nowe strony talentu p. Sozańskiego i wyborną znajomość perspektywy.

(Dokończenie nastąpi).

— Według ostatnich rozporządzeń władzy zapewniony został kobietom udział w niektórych działach pracy przy obsłudze kolei żelaznych. Dozwolone będzie obecnie przyjmowanie kobiet na różne zajęcia w kantorach zarządu i administracji: będą mogły pełnić obowiązki kassyerów stacji, officyantów w kantorach pasażerskich i towarowych, buchalterów, telegrafistów, nakoniec stróżów baryerowych.

— Grono kobiet zamieszkałych w Warszawie zamierza wydać książkę zbiorową, na którą złożyły się same oryginalnie napisane utwory kobiet naszych. Wydawczynie liczą, nietylko na pióra znane w literaturze, ile na siły nowe, na mieszkanki wsi, miast i miasteczek, których życie wewnętrzne mogłoby posłużyć do pożytecznych dla ogółu spostrzeżeń i uwag nad moralnym i materialnym bytem ludności miejscowych. Przytem wydawczynie mają cel inny jeszcze: chcą aby książka ta, poświęcona wyłącznie utworom kobiecym, była polem otwartym dla talentów jeszcze niewypróbowanych, niesmiałych, dla autorek poczynających, któreby tam wprawiać się mogły. Na czele wydawnictwa stoi p. H. Jasińska. Prospekt, który ma wyjść wkrótce, objaśni bliżej warunki wydawnictwa.

— *Gazeta Świąteczna* podaje wiadomość o „rozumnej niewieście“ ze wsi Smardzewice, Anieli Stolarskiej, żonie gospodarza, Walentego Stolarskiego. Korrespondent pisze, że kobiety wieśniaczki mniej niżeli mężczyźni, zajmują się książką, czytaniem. Zajęcie koło gospodarstwa i trudy macierzyńskie stawają tu zwykle, jako powód usprawiedliwiający; przeciw wspomniana wyżej Aniela Stolarska, jakkolwiek jest matką trojga dzieci, które chowa bardzo starannie jakkolwiek porządek w domu i gospodarstwie, troskliwie przez nią prowadzonym, jest wzorowy,—odznacza się szczególnem zamiłowaniem do czytania. Jest też stałą czytelniczką *Gazety Świątecznej*, którą maż jej prenumeruje, czytuje przytem *Zorzę* i książki rozmaite, a przez wykształcenie umysłu ztąd nabywane, przez posiadanie różnych wiadomości, wyrobiła sobie między sąsiadami uznanie szczególne i jest przez wszystkich mile widzianą, a nawet towarzystwo jej staje się pożądanem z powodu, że ma zawsze coś rozumnego do powiedzenia. Powtarza się więc w tych sferach ludowych, budzących się obecnie do oświaty, to samo, przez co przechodziły kobiety klas wyższych, skoro umysłem i wykształceniem podniosły się ponad inne. Jeżeli tylko szlachetne nabytki wiedzy i wyższa siła rozumu niestawała kobiecie wpoprzek jej cnót niewieście i obowiązków rodzinnych: przyjętych na siebie dobrowolnie, zaprzysiężonych powinności matki i małżonki — nigdy kobieta taka od miłości ludzkiej, od ludzkiego poważania odsądzaną nie była lecz przeciwnie, cześć jej stawała się tu większą. Tylko lekkomyślne lub zuchwałe, fałszywie pojmujące życie i biorące sobie naukę swoją, swoje zdolności umysłowe za powód do wyłamania się zpod praw moralnych, ludzkością rządzących: za powód do gardzenia temi cnotami, które są szlachetnością w kobiecie — te tylko spotykały na swojej drodze uczucie nieprzychylnie, będące odpozem społeczeństwa przeciw temu, co łamało moralne zasady jego bytu. Jest tak do dziś dnia i będzie chyba zawsze; nikt też, najzaciętszy wstecznic, chcący, jak Schopenhauer, spychać kobietę w sferę istnienia podrzędnej, nie wyrządził tyle krzywdy postępowi oświaty kobiecej, ile kobiety takie, które przy zdobytej wolności nie umiały się utrzymać przy godności moralnej, obowiązującej na każdym stopniu wykształcenia i wiedzy ludzkiej.

— Wzór skrzętnej i postępowej gospodyni przedstawia pewna pani, właścicielka ziemska z Podlaskiego, która nie tylko nabiawem gospodarstwem sama się zajmuje, krów w pacht nie wypuszczając, nie tylko postępuje tak samo z sa-

dem i ogrodem, których nigdy nie wydzierżawia i owoc nad potrzebę domową zbywający na własną rękę spienięża; ale w zakresie wioski swojej trudni się handlem, który, na godziwy zysk obliczony, przynosi korzyści, tak jej samej, jak sąsiadom jej z chat wiejskich. Post Wielki, siedm tygodni trwający, sprowadza zawsze między twarde poszczącym ludem znaczne spożycie śledzi; otóż pani ta sprowadzała ich w tym roku beczek kilka; i gdy w miasteczku śledzie tego gatunku sprzedawano po gr. cztery, lub najniżej półczwarta, ona mogła zbywać trzy śledzie za gr. 10, a dla niemających gotówki, lub ruszyć jej niechających, za cztery jaja, które w miasteczku nie byłyby sprzedane drożej. Wyprzedaż poszła jej bardzo pomyślnie; wieśniacy, nawet ze wsi sąsiednich, śledzie te, tańsze i lepsze niż w miasteczku, rozkupili głównie za jaja, a targ zamienny, na jakim dotychczas niepoczciwi handlarze główny swój zysk, a wyzysk wieśniaka opierają, bardzo korzystnie się opłacił, bo jaja, w znacznej już ilości zgromadzone, warto było na Święta Wielkonoce do miasta wysłać, jak też uczyniono i zbyto zyskownie.

W taki sposób prosty dałoby się u nas wewnętrzny handel wioskowy prowadzić, nie zakładając uroczyście sklepów, bo lud nasz nowości nie lubi i podejrzewa je nawet, zwłaszcza, gdy idą z góry. Ale zrozumie to, że pani ze dworu dla korzyści na cenie zakupi hurtem coś, czego sama na dom własny potrzebuje, i następnie chce zbywać zbywającą jej resztę. Lud jeszcze w to wierzy, że go we dworze na gatunku i cenie nie oszukają, co już jest wielką rzeczą, i można z pewnością twierdzić, że na wzór owej podlaskiej pani mogłyby mieć wszystkie przy swoich dworach, w swoich własnych składach i spiżarniach mieszczące się sklepy wiejskie. Wieśniak kupowałby tam na początek, z chęcią wielką, sól, mydło, naftę, i z tego wyrodziłoby się zwolna nawyknięcie i dałoby się tu przyłączyć handel, norymberskim zwany, gdzieby z czasem mogło coraz różnogatunkowego towaru przybywać, towaru takiego, jaki kramarz wędrowny na plecach od wsi do wsi nosi. A czy nie mogłaby się wtedy znaleźć tam i półka jedna z książkami, z piśmami peryodycznymi do kupna lub abonowania? Nasza praca kobieca na wsi, to przy dobrej woli, przy zmysle praktycznym i pewnej pomyślności pole szerokie, a jeszcze niezajęte i samo podające się nam w ręce.

— W Berlinie liczba kobiet wynosiła w 1874 r. 19,000 mniej, niż mężczyźni; od tego czasu ludność kobieca zaczęła przewyższać męską. W 1887 było już tam kobiet więcej od mężczyzn o 14,000 i w 1880 o 35,000 i obecnie przewyżka ta ludności kobiecej jest: 62,423. Najgłówniejszym tego powodem jest garnięcie się do wielkiego miasta kobiet samotnych, szukających pracy na chleb.

— Parlament francuzki powiększył fundusz na średnie szkoły dziewcząt z 680,000 franków na 802,400 fr. Blizko 4,000 uczennic pobiera nauki w rozmaitych liceach i kollegiach rządowych, więcej niż 6,000 uczęszcza, na tak zwane „cours secondaires.“ Nietylko w zakładach rządowych, zostających pod bezpośrednim nadzorem ministerjum oświecenia publicznego, programat edukacji kobiecej zmienił się: rozszerzył i pogłębił, ale i szkoły prywatne, zwłaszcza paryzkie, dobrały dla wykładów swoich grono najlepszych nauczycieli. Zaczyna się też zaznaczać zwrot do praktyczności; w Ecouen, gdzie kształcą się córki officerów Legi Honorowej, zaprowadzono naukę gotowania i kolejno dziesięć uczennic jest zawsze zajętych praktyką tej nauki pod kierunkiem naczelniej kucharki zakładu.

— W zeszłym miesiącu panie rzymskie ofiarowały armii włoskiej dwie wyhaftowane przez siebie chorągwie, przeznaczone dla dwóch pułków z pomiędzy dwunasto świeżo utworzonych, to jest dla 79 i 80 pułku piechoty liniowej. Chorągwie te składała na czele komitetu pań piękna księżna Wiktorya Sforzi-Cesarini, z domu Colonna, dama honorowa królowej Małgorzaty. Dar był składany w koszarach konsystującej w Rzymie dywizji piechoty; komitetowi pań towarzyszyła reprezentacja municypalności rzymskiej z syndy-

kiem swoim, księciem Torlonia, na czele. Chorągwie te zostały następnie poświęcone na rzymskim placu broni Maccao, gdzie wzniesiony został na ten cel ołtarz polowy, przy którym wielki jałmużnik dworu, Monsignor Anzino, otoczony kapelanami wojskowymi dopełnił obrzędu. Królowa Małgorzata w otwartym powozie galowym asystowała uroczystości, mając obok siebie księżną Cesarini, która ma być osobistością niepospolitą. Córka starego rodu Colonna i nosząca imię swej sławnej prababki, usiłuje ona zbliżyć się do niej przez podniosłość gustów i charakteru; zaliczają ją też w Rzymie do najszlachetniejszych patryotek włoskich. Jest przytem bardzo piękna i wysoce muzykalna.

— Umarł w Rzymie uczony prawnik Ferdinando Santoni di Sio, autor niedawno wydanego dzieła: czy zawód prawniczy może być przystępnym dla kobiety? Zostało ono napisane z powodu znanej czytelnikom sprawy Julii Poët, chcącej w Turynie występować przed sądami jako adwokat przysięgły. Dzieło Ferdinando Santoni obejmuje wszystkie argumenta wniesione wtedy za i przeciw prawniczemu zawodowi kobiety; dwa pierwsze rozdziały przedstawiają, jak kwestya ta występowała przed turyńskim sądem apellacyjnym i sądem kassacyjnym; dalej idą głosy prasy i publiczności, wyrażającej się przez znakomitszych swych przedstawicieli, wreszcie uczone wywody, że prawa włoskie nie bronią wcale kobiecie pobierania nauki prawa i występowania przed sądami w charakterze adwokata. Pozwolenie na to męża nie jest też nigdzie przez prawa włoskie zastrzeżone. Prawa komunalne nie poruszają też nigdzie tej kwestyi i tu tylko obywatele sami decydują. Santoni chcąc zbadać, jak kobieta wywiązuje się w praktyce z zadania, odbył podróż do Stanów Zjednoczonych, gdzie adwokatki występują już przed sądami od niejakiego czasu; poleceni specjalnie Rządowi Stanów Zjednoczonych przez włoskiego ministra spraw zagranicznych. Santoni miał sobie otwarte wszystkie źródła rządowe pomagające do zbadania prawdy. Miał powstać z tego dodatkowy tom drugi książki, gdy śmierć przerwała pracę.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Marcu 1885 r.

Choroby społeczne.—Rozpasanie w literaturze i w sztukach.—Tendencje naturalistów.—P. Zola i jego „zielony język”.—*Germinale*, nowa powieść.—Życie w podziemiach kopalni węgla.—Kłamstwo i prawda.—Sensacyjna wiadomość o Poniatowskim w nędzy.—Kradzieże wielkich nazwisk i sytuacji.—Ostatni Walezyusz.—Wystawy artystyczne: Gustawa Dorégo, Eugeniusza Delacroix'a i Bastien Lepage'a.—Sprawa z powodu śmierci tego malarza.—Lekarz przed sądem.—Potępienie.—Pani Francaey, morderstwo ukochanego.—Uniewinnienie.

(Dokończenie).

Ależ oto w tej chwili właśnie, nowy i dziwniejszy pretendent ukazał się na scenie. Jest to ni mniej, ni więcej, jeno *Ostatni z Walezyusów!*...

Tym pretendentem do Tronu Francuzkiego jest niejaki Antoni Dujol, wyrobnik i stróż nocny w fabryce wyrobów chemicznych w miasteczku Istres, na południu Francyi, w bliskości ujścia Rodanu.

Dujol urodził się w Owernii, w Departamencie du Cantal, w miasteczku Sainte-Ilvide, 24 Sierpnia 1845 r.; ma więc dziś lat 40, jak zresztą pokazuje cała jego powierzchowność, w której nic a nic nie zdradza, tak wielce arystokratycznego pochodzenia, bo też od tak dawna, jak swój rodowód prowadzi Dujol, miało ono czas zmodyfikować się zupełnie.

Według broszury, którą ogłosił ten dziwny pretendent, Franciszek książę na Alençonie, czwarty syn Henryka II Walezyusza, nie zmarł wcale bezpotomnie, jak to utrzymywano dotąd, lecz przeciwnie, ożeniony w 1575 r.,—w jakim miejscu—tego broszura nie powiada, z księżną Medina-Coeli, Hiszpanką, zostawił syna Filipa-Franciszka, Księcia Andegawęńskiego, ożenionego z księżniczką d'Arcos, który zrodził Karola, Karol zrodził itd., aż do 1757 r., kiedy Ludwik XV,

dowiedziawszy się, że w jego państwie znajduje się prawdziwy potomek Walezyusów, w osobie Karola-Ludwika, hrabiego Owernii i księcia na Alençonie itd., kazał go zamknąć do Bastylii, gdzie nieszczęśliwy więzień zmarł 5 Października 1757 r.

Żona jego z małym synem, ścigana przez policję, schroniła się do Owernii, gdzie malutki książę powierzony został staraniom i opiece, niejakiego Dujola; ten będąc bezdzietnym, wychował książętko, jak własnego syna, pod imieniem Wilhelma Dujola. Chłopiec, nieświadomy swego pochodzenia, rósł i żył pod nazwiskiem przybranym, i tym sposobem utworzył dynastyę Dujolów, z której pochodzi dzisiejszy pretendent.

Ma on w rękach, jak utrzymuje, deklaracyę rady ministrów, złożoną 14 Września 1784 r., a uznającą autentyczność pochodzenia, ówczesnego Wilhelma Dujola, *alias* księcia na Alençonie itd.!! Gdyby wówczas Ludwik XVI, ustąpił był tronu, prawdziwemu dziedzicowi, ileż by to rzeczy mogło się być zmienić! a między innymi, tak tragiczny i fatalny koniec rodziny królewskiej.

W takim składzie rzeczy pozostawało dzisiejszemu stróżowi fabryki wyrobów chemicznych w Rassuen udowodnić swoje pochodzenie w trzecim pokoleniu, od owego Wilhelma Dujola, aby zostać rzeczywistym wnukiem księcia na Alençonie itd., i ostatnim z rodu Walezyusów, co też uczynił. Niema więc żadnej wątpliwości, że on jest wnukiem Dujola, ale czy jest wnukiem Walezyusów—to jest jeszcze do dowiedzenia!

Dwa sporne punkta spotykamy w tej sprawie Dujola: 1) Ożenienie się z księżniczką Medina-Coeli, Franciszka, brata naszego króla Henryka III. 2) Tożsamość owego Wilhelma Dujola z Henrykiem-Karolem-Ludwikiem, księcia na Ussonie, Owernii, Alençonie itd., z rodziną Walezyusów, a to pomimo zaświadczenia owej rady ministrów.

Tymczasem, poczciwy stróż z chemicznej fabryki zapalek sporządził już sobie karty wizytowe, które usłuży Figaro, wystawił w swej sali na dole, w następnej redakcyi:

Comte d'Usson d'Auvergne
Duc d'Alençon, Prince de Valois.

Sprawa ta przyjdzie wkrótce pod rozpatrzenie trybunału w Aurillac. Czekajmy!

Wystawy cząstkowe malarskie pomnażają się coraz ale, niestety! nie wszystkie są równej wartości dla sztuki; z każdej z nich jednak można otrzymać skazówkę, w jakim stosunku sztuka współczesna przyczyniła się i przyczynia do ogólnego postępu.

W ciągu zeszłego Marca mieliśmy aż trzy wystawy malarskie najpierw: Gustawa Dorégo, urządzoną staraniem, tak zwanego *Koła księgarskiego*, a rzeczywiście przez wydawcę głównego dzieł rytowniczych tego artysty, *Ludwika Curmera*, w gmachu należącym do tego księgarza wydawcy, przy bulwarze St. Germain, pod N. 117.

Następnie, tak zwani miłośnicy i wielbiciele Eugeniusza Delacroix urządzili wystawę obrazów tego sławnego kolorysty francuzkiej szkoły w gmachu Akademii Sztuk Pięknych.

I nakoniec, tuż obok tego gmachu, w świeżo nabytym pałacu, dla powiększenia lokalu sztuk pięknych, przyjaciele świeżo zmarłego Bastien-Lepage'a zgromadzili wszystko, co się dało zgromadzić z obrazowiszkiców tego artysty, który miał też swoją chwilę sławy.

Niestety! te pozwy przed sąd współczesnych artystów naszej epoki mają swe wielkie niedogodności. Publiczność w swym sądzie musi tu być koniecznie stroną—za, albo przeciw, bo warunki, w jakich stworzone były te dzieła, i w jakich żyli ci artyści, nie miały jeszcze czasu oczyścić się, że tak powiem, z osobistych względów i wrażeń, i nie przedstawiają się może oczom naszym, w tem oddaleniu, jakiego wymaga perspektywa, mająca służyć za podstawę i kryterium zdrowej i bezstronnej krytyki.

Naprzód co do Gustawa Dorégo. Wystawa Curmera jest bardziej reklamą wydawcy tego sławnego ilustratora, wystawą dzieł jego, bo

z małym bardzo wyjątkiem, pokazano nam tu jedynie, w ciasnych i źle oświetlonych salach, zbiór rysunków i pierwszych szkiców do ilustracyi rozmaitych dzieł, i to ostatniej epoki, wykonanych przez tego artystę, z drzeworytami już pomieszczonemi w drukowanych, wspaniale oprawnych i na sprzedaż wystawionych dziełach, na teźże wystawie.

Lecz jeżeli ta wystawa nie daje ani dokładnego, ani prawdziwego wyobrażenia o talencie Dorégo, uderza przecież ogromem wykonanej pracy przez tego tytana. Harda dusza w małym ciele! można tu powiedzieć, zaprawdę. A przypominając sobie, tak pracowity, tak skromny, tak zacny żywot artysty, człowiek, mimowolnie, godzi się ze swym czasem i musi przyznać, że wśród tego poniżenia, i rozprężenia społecznego są jeszcze piękne i dobre serca i dusze wyższe, a godne umysły.

Wystawa obrazów Eugeniusza Delacroix raz jeszcze usprawiedliwia surowe krytyki tych, którzy w tym malarzu niezaprzeczonego talentu, widzieli i widzą część ułomną i wadliwą artysty, któremu ujemne strony nie dozwolą nigdy zająć pierwszego miejsca w liczbie współczesnych mu malarzy, na które gwałtem pragną go wynieść wielbiciele jego.

Delacroix urodził się z tem usposobieniem, którego nie daje, ani nauka, ani doświadczenie, był on kolorystą, i to kolorystą potężnym, w całym znaczeniu tego wyrazu. Dla malarza jest to wielka i kapitalna zaleta, ale tego jednego niedosyć! Sztuka malarska składa się z dwóch części: rysunku i barwy. Są one najczęściej różne i jakby wbrew sobie, linia, to jest kształt i kolor, to jest życie i światło, rzadko w równej mierze, znalazły się w jednym artyście. Przecież w naturze są one jedne i nierozdzielne, tylko oko ludzkie jest tego ustroju, że umie je rozdzielić, i że widzi jedno i drugie, odrębnie i odrębnie też je tłómaczy na płótnie, chociaż stara się i usiłuje nie zrywać tej ich jedności.

Delacroix, nietylko, że nie miał pojęcia linii, ale, jakby z namysłu i z postanowienia, zaniedbywał rysunek, ztąd wrażenie, jakie robią jego obrazy, pełne blasku barwy i światła, jest nieprzyjemne i wstrętne. Widzieć koszlawe, niesforne postacie, jak gdyby zbiór kaleków ze szpitala, tam, gdzie się szuka, wdzięku i pięknej postaci, jest to, przyzna każdy, rzecz nie do darowania malarzowi, który przy usilności mógł i powinien był otrzymać wcale inny rezultat. Rozumieć wadę i trwać w niej, pomimo wszystkiego, jest to poniżać sztukę i własny talent. Nie wymagamy, zapewne, aby Delacroix rysował, jak Rafael, ale nie idąc już o lepsze z takim geniuszem linii, mógł przecież w swoich obrazach uniknąć: prawdziwych dziwolągów i śmieszności.

Przypominano też z tej okoliczności, za jaką małą cenę sprzedawał Delacroix swoje obrazy, i że pomimo to odbył jego malowideł szedł z wielką trudnością. Nic dziwnego, mówią zwolennicy tego artysty, obrazy Delacroix nie mają nic w sobie, coby mogło zkusić profanów! a powiedzmy prawdę: i samych znawców. Dziś nawet, jeżeli się płacą zbyt wysoko, to wskutek wierutnej manii, zapalonych zbieraczy, i aby powiedzieć, że się posiada obraz Delacroix.

Przeznaczeniem malarstwa jest wywieranie przyjemnego wrażenia na wzrok ludzki. Otóż ani jeden obraz Delacroix nie ma w sobie ani cząsteczki tego przymiotu; przeciwnie, obrazy jego są nieprzyjemne, rażące często wadami rysunku i układu, a tego sam koloryst zastąpić nigdy nie zdoła. Jest jedne tylko dzieło tego malarza, piękne i wspaniałe, i które takim pozostanie na zawsze; jego sufit sali Apollina w Luwrze¹⁾. Reszta nie usprawiedliwia reputacyi, jakiej ten malarz używa we Francyi, a którą stworzyła i utrzymuje wrodzona żyłka Francuzom, chwaleńca i wynoszenia pod niebiosą swoich artystów.

Co do wystawy niedawno zmarłego Bastien-Lepage'a, dosyć powiedzieć, że jest to malarz naturalista. Złośliwy Heine oceniłby to wyrażeniem łacińskim... My przejdziemy w milczeniu, przypominając tu dziwną, a tak prawdziwie francuzką historią, której powodem, była choroba i śmierć tego malarza, a którą wywołano jako poprzednią reklamę tej wystawy pośmiertnej.

1) Jest tak wysoko, że wady rysunku nikną.

Bastien-Lepage umarł dość młodo, po długiej i ciężkiej chorobie. Dzienniki rozповідаły dziwne rzeczy o tej chorobie i jej naturze. Doktor Watelet, który był lekarzem chorego, aby sprostać najniepodobniejsze do prawdy przypuszczenia. Napisał list do jednego z dzienników, w którym wyrażał, że chorobą, z której umarł artysta, był rak albo skir żołądkowy, choroba straszna — i niestety! nieuleczona.

Na takie ogłoszenie familia nieboszczyka, pod pozorem, że to zeznanie może jej przyczynić niezmiernie szkody, dając do zrozumienia, że to może być choroba sukcesyjna w rodzinie, pozwała doktora Wateleta do odpowiedzialności za złamanie tajemnicy profesjonalnej. I nieszczęśliwy doktor skazany został na grzywny, sto franków i kosztą. Pytamy się teraz: czy ten proces nierozwiązał i nierozpowszechnił tej tajemnicy rodzinnej, więcej, niż ten list doktora, umieszczony w jakimś dzienniku. O! reklamo! gdzie ciebie nie ma?

Doktor Watelet ukarany został za to, że powiedział prawdę, a panią Francey, która nazajutrz po uniewinnieniu sławnej pani Huguesowej, zabiła z rewolweru, niedyskretne gacha p. Brizeborda, jury solennym wyrokiem wypuszcza wolną z sądu! Dlaczego? bo pierwszego sądził trybunał zwyczajny, a drugą jury! Dziwna ta sprawa pani Francey, której opowiadać tu nie mogę, pokazuje raz jeszcze, jak wątpliwa i bez zasadną instytucją jest to okrzykane jury, jak podejrzana jego sprawiedliwość, tam gdzie spierający się adwokaci starają się na wyścigi zaciemnić prawdę, sfalszować fakta i zamącić w głowach, w których i bez tego, najczęściej niema nic, tylko pustki i wiatr w pustkach.

Ta zamaszysta, czerwona mieszczka z miasta Tonnerre, która w swoich mieszaninach literacko-romansowych uważa za stosowne zabić z rewolweru głupiego galanta, wówczas kiedy dosyć było zawołać służającą, jest dowodem, jak łatwo się przyjmują i krzewią złe przykłady, skoro pewne pobbłażanie zasiądzie na sędziowskim krześle. Dodajmy tu, że pewne zimne okrucieństwo, jakiego dała dowód ta pani, goniąc na ulicę uciekającą ofiarę i dobijając już konającego człowieka, pozwała przypuścić, że dla niej żadnego niebezpieczeństwa nie przedstawiało pokuszenie się miłosne tego Brizbarda.

DROBNE LISTKI.

— **Ruch**, czeski tygodnik ilustrowany, wychodzący w Pradze pod redakcją Fr. Brozika, brata malarza, zamieścił w numerze z 25 marca, dwie interesujące nas rzeczy: drzeworyt z obrazu Matejki „Wernyhora“ i list Jana Kollara, autora poematu: „Córa Sławy“ pisany do Mickiewicza do Paryża d. 10 Listopada 1842 r. Poeta czeski pisał do poety polskiego dla zawarcia związku bratniej przyjaźni, redakcja *Ruchu* czyni też uwagę, że jakkolwiek w papierach Kollara nie znalazł się żaden list Mickiewicza, ani w papierach Mickiewicza niema wcale śladu dalszej korespondencji Kollara, niemniej to, co Mickiewicz w *Collège de France* o literaturze czeskiej mówił, każe przypuszczać, że korespondencja ta istniała, i że ów list Kollara, który Wł. Mickiewicz redakcji *Ruchu*, jako cenną pamiątkę narodową przysłał, nie mógł być ostatnim. List ten pisany z Pesztu, gdzie Kollar był kaznodzieją przy kościele ewangelickim, będzie zamieszczony w IV T. korespondencji Mickiewicza, którą syn wieszczą w Paryżu wydaje a brzmi w nim silne uczucie

współbraterstwa słowiańskiego, posunięte aż do granic, jakgdyby jednej wspólnej narodowości.

„Wielmożny panie, czcigodny bracie Sławianinie!”

„Mężowie innych narodów, troskliwi o ich literaturę i życie ducha, usiłują o ile można łączyć się ze sobą przez osobiste stosunki, przez słowną wymianę myśli, lub korespondencją. Wskutek tego działalność ich ma spójność, a rozproszone siły, zjednoczone w dążeniu do jednego celu: pracują z większą dla narodu korzyścią. Tak jest we Francji, w Anglii, w Niemczech i nawet najbardziej oddaleni mężowie ci, zostają ze sobą w ciągłym związku i łączności literackiej. Takby być powinno i między nami Sławianami, synami jednej matki Sławy.”

„Jużem ja od dawna pragnął wejść z Wami w jakiś bliższy stosunek. Z waszych poezji, które czytałem troskliwie, nie tylko poznałem was jako wspaniałego ducha, wzniosłego poetę, szlachetnego męża, ale jako gorliwego miłośnika naszego wspólnego narodu (naseho spoločneho narodu). To mi podało śmiałości, że dałem początek w pisaniu do Was, gdy zobaczenia was i osobistego poznania nie mam nadziei. Przeszłego roku podróżowałem po Włoszech i innych krajach; teraz wydaję opis tej podróży, z dodanym do tego słownikiem uczonych słowiańskich wszelkich plemion. Dzieło to wychodzi sposobem przedpłaty, ponieważ my nie mamy jeszcze żadnego narodowego księgarza. Jeden egzemplarz posyłam wam do miłośniczego użytku i rozpowszechnienia między braćmi Sławianami, gdzie i jak za dobre uznacie.”

„Zeszłego roku posłałem wam w upominku przez polskiego hrabię, do Paryża jadącego, Stanisława Dunina Borkowskiego, jeden egzemplarz mego utworu: *Córa Sławy*; nie wiem dotąd, czy wam to doręczonem zostało? Jeżeli nie, to raczcie pisać do niego i żądać przesyłki. Nad czem pracujecie obecnie? Czy macie dość słuchaczy? Wielce mnie ucieszycie, jeżeli dacie mi odpowiedź, co najrychlej. Miewajcie się dobrze. — Wasz życzliwy czciciel, Jan Kollar.”

— **Karty z dziennika więźnia**, dwutomowa książka Michała Davitt, założyciela Irlandzkiej *Ligi Rolnej*, wyszła świeżo w Londynie, stanowi obecnie bardzo poczytną nowość w literaturze angielskiej. Skazany na piętnaście lat warownego więzienia, Davitt przesiedział blisko lat dziewięć samotnie, gdy naraz zyskał towarzysza doli i przyjaciela, którego obecności: „a fortunate circumstance“, jak się o tem wyraża krytyk londyńskiego *Ateneum*, czytająca publiczność zawdzięcza dzieło, które napisał.

Owym druhem więźnia i literackim jego natchnieniem, był — młody kos! Wpadł do celi więźnia przez odemknięte okienko, samotnik ucieszony tem zjawieniem żywej istoty, już go nie puścił od siebie, obłaskawił, wyuczył sztuk różnych, aż nakoniec uczynił go publicznością dla odczytów pustelnika, bo tak nazywa Davitt książkę swoją „Lecture to a Solitary Audience“, i pisze: — „Przed kilku miesiącami ożywiłem ponurość mej samotności, usiłując pozyskać sobie zaufanie mego towarzysza, co wzięło najszcześniejszy skutek. Siada mi na piersiach, gdy rano jeszcze śpię, i budzi mnie; stawa na brzegu mojej miski z zupą i dzieli się nią ze mną. Jego poufałość doszła do tego, że kiedy pokazałszy mu kawałek łupkowego ołówka, schowam go potem do kieszeni kurtki, zaraz mi go ztamtąd wyciągnie; mieści się potem w rogu tabliczki, którą sobie do pisania między kolanami trzymam, przygląda się ruchowi ołówka i robi najzabawniejsze usiłowania, aby ślady liter z tabliczki wydziobać. Umie chwytając i apportować, co mu każe, jak pies dobrze ułożony; nad wieczorem idzie spokojnie na swoje

grzędę, to jest na pręt w głowach żelaznego mego łózka, i siedzi tam cicho do świtu dnia następnego. Raz zdarzyło mi się, że pewnego wieczora, patrząc na tego mego towarzysza, siedzącego nieruchomo naprzeciwko mnie na swojej grzędzie, postanowiłem zrobić go moją publicznością i zacząłem przemawiać do niego. Tak powstało to, com spisywał później na kartach mojej książki.”

Książka ta dzieli się na trzy części: jedna, smutnie ciekawej historyczności dla publiczności Irlandzkiej, jest opisem godzin, dni, lat w więzieniu spędzonych; druga, oparta na zdobytem tam doświadczeniu, traktuje o przyczynach, które wytwarzają kryminalistów i wskazuje przeciw temu środki zaradcze; trzecia nakoniec jest poświęcona w całości politycznemu położeniu Irlandyi. — Jak Irlandya jest rządona i ruinowana? (ruled and ruined). Jak angielsko-irlandzka kwestya może być rozwiązana? Krytyka angielska w londyńskim *Ateneum* przyznaje Davittowi nie tylko wyższe zalety literackiego obrobienia wszystkich trzech działów jego książki, ale dodaje, że od początku do końca autor zachował tu „umiarkowanie, głęboki namysł i godność“, a świadectwo takie wydane przez angielskiego krytyka, znaczy bardzo wiele i dowodzi, że zalety książki są niepospolite. Styl jest rzeczywiście mężki i posiada szczęśliwą werwę, której długie lata więzienia i samotności zabić w nim nie mogły. W oryginalny, żartobliwie bolesny sposób rozprawia on ze swoim kosem i taki jest naprzykład między niemi dyalog:

— „Jakieże to zbrodni, stałeś się winnym, więźniu, że cię tu zamknięto?” — pyta ptak, a człowiek odpowiada:

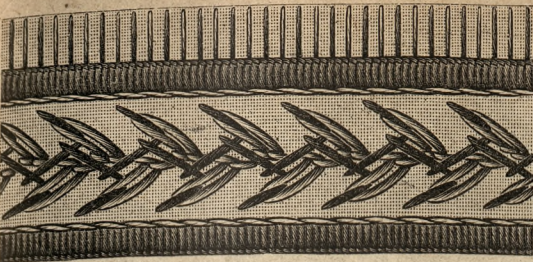
— „Rodziną krainą moją jest Irlandya, ziemia bogato uposażona we wszystko, co może czynić naród wielkim. Ma grunt żyzny, ma lud przemyślny i cnotliwy i tylko brakuje tam jednej, jedynej rzeczy, tego, czego brakuje i tobie kosiu — swobody! Ojczyzna moja jest rządona przez kraj inny: przez Anglię. Rząd Angielski opiera się na załodze nie-irlandzkich właścicieli ziemi i hordzie niemiłych krajowi urzędników. Pozwól mi przedstawić ci ideę, na jakiej zasadza się natura angielskiego rządu, abym w porządku rzeczy mógł ci wykazać, mój kosie, naturę mojej zbrodni, to jest dopuszczanie się usiłowań, aby ojczyzna moja, Irlandya, zapewniom sobie miała prawo rządzenia sama sobą!”

Angielski krytyk jest dotkliwie dotknięty fikcyjnym obrazem, coby to było, gdy na odwrót dziś istniejącego porządku rzeczy, Anglia była poddana pod rząd irlandzki na prawach obecnie tam obowiązujących? Niemniej znajdują się w jego rozbiórce dzieła Davitta wyrazy takie: „Niepodobna jest nie szanować myśliciela, który w takich jak on okolicznościach życia, mógł się oddać zadaniu rozbierania tak ciężkiego przedmiotu (zagadnienia angielskiej kryminalistyki), z taką dyskrecją i bez cienia namiętnej goryczy.“ Że Anglik mógł to napisać o takiej książce, i takiego autora, dowód to już, że mimo wszystkiego, co się dzieje w Irlandyi, uczucie sprawiedliwości tkwi w sumieniu angielskiego narodu, więc też jest jeszcze między temi dwoma ludami droga wyjścia z okrutnego impasu, który wytworzyła przeszłość, i z którego nawet terażniejsze umiarkowanie Anglii wyprowadzić jednak dotąd nie może siebie i Irlandyi.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczo* dołącza się arkusz 4-ty powieści pod tyt.: **Sieroca dola**, przez autorkę powieści *Silny duch*.

TREŚĆ. Przebudzenie, poezya, przez Szczęsną. — Pogawędka. — Miłość Stefana Garczyńskiego, (dalszy ciąg), przez Józefa H. Rychtera. — Cześćotka, Powieść z dawnych czasów, przez P. J. Bykowskiego. — Korespondencja zagraniczna, (Lwów). — Kronika działalności kobiecej. — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Drobne listki.

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Sieroca dola**, przez autorkę „*Silny duch*“. — 40 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycją stołu**.



Nr 1. Wązki szlaczek do ryc. 5. Wielkość natur.

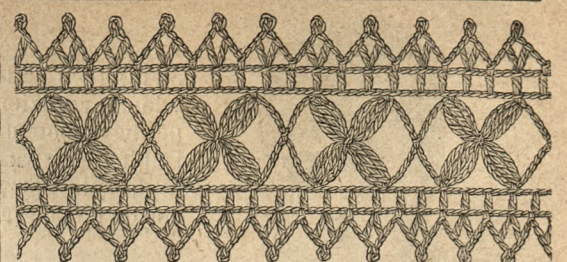
Szlaczek robotą szydelkową do sukienek dzieciennych lub t. p.

Rycina Nr 2.

Szlaczek z krętej bawełny Nr 50. Kolej 1: * 16 oczek pow., 2 słup. potrójne. ściągnięte w 1 ocz., w 12 i 16 ocz., 5 pow. ocz., 2 słup. potrój. jak poprzednio, w 1 z 5 pow. ocz., od * powtórzyć. Kolej 2: 1 ścis. ocz., pomiędzy dwa listki poprzedniej kolei, 5 o. pow., 2 sł. potrój. w 1 z 5 pow. o., 5 pow. o., 1 śc. o. w środkowe z 11 pow. o. poprzedniej kolei, 10 pow. o., 2 potrój. sł. ściagn. w 1 o. w 6 popr. 10 pow. o., od * powtórzyć. Kolej 3: * 1 śc. o. w końcu listka poprzedniej kolei, 7 pow. o., 1 o. śc. w o., w które zrobione były 2 potrój. sł. poprzedniej kolei, 7 pow. o. od * powtórzyć. Kolej 4 ciągle naprzemian: 1 sł. 2 pow. o., 2 o. opuścić. Kolej 5: * 1 o. ścis. w słup. poprzedniej kolei, 2 pow. ocz. 2 słup. przedzielone 1 pik. (4 pow. ocz. i 1 ści. ocz. w 1 z pow.), 2 pow. ocz., od * powtórzyć. Z drugiej strony szlaczku robi się 3, 4 i 5 kolej.



Nr 3. Szlak szeroki do ryc. 5. Wielkość naturalna.



Nr 2. Szlaczek szydełkowy do sukienek dzieciennych i t. p.

Suknia z dyagonalu.

Rycina Nr 9, oraz 27 i 28 w Bl. Nr 15.

Spódnica oszyta u dołu wąską falbanką, a pokryta wolantem z granatowego dyagonalu, w części gładkim, w części uplisowanym, a oprócz tego z tyłu znajduje się część 158 cent. szeroka, a 109 cent. długa, u góry ułożona w szerokie fałdy; w koło objęta rulonikiem z wąskiej białej wełnianej tasie-meczki; 11 cent. szeroki, a 33 cent. długi pasek, strzymuje przód tiuniki tak, aby zachodził na tył i przyciskał fałdy tylne; granatowa szarfa z atlasowej wstążki, dopełnia przybrania sukni. Stanik z napiersnikiem i mankietami przybranymi naszyciem, objęty w koło rulonikiem z białej tasie-mki.

Toczek z aksamitu i koronki.

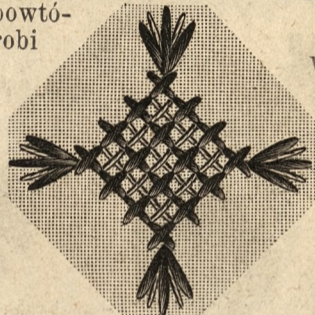
Rycina Nr 11.

Na zrobienie tego toczka potrzebny jest sztywny fasonik z 6 cent. szerokością rondkiem, które podszywa się gładko czarnym atlasem, a z wierzchu pokrywa się bufką z czarnego aksamitu. Główna przybrana jest fałdowaną koronką szantilową przewinięto wężykowato i bukciekiem złotych

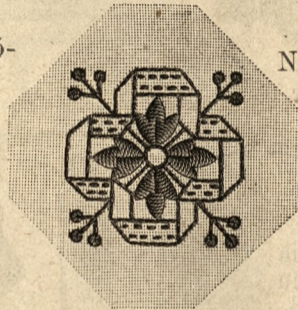
Rzut na tło do serwet lub t. p.

Rycina Nr 6.

Rzucik taki haftuje się na płótnie średniej grubości, rozpo-

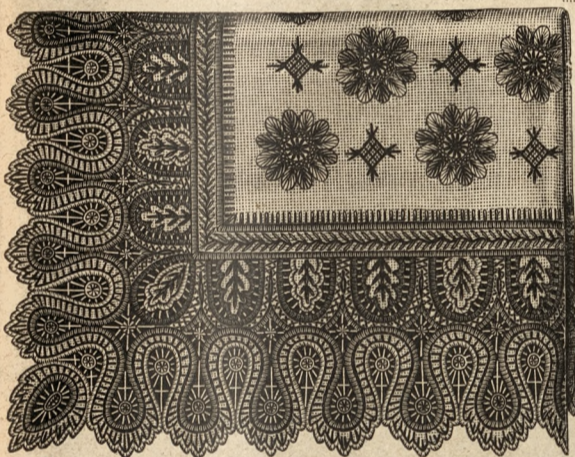


wiedniej wielkości rzadkiego płótna, naśladowującego kanwę, podługne brzegi którego należy obrzebić, zawijając obrzeb na prawą stronę, poprzeczne ozdobić szlakiem, wzór którego podaje ryc. 8 i który się haftuje pasową, zdatną do prania filozelą, ścięciem łaskim i pocztowym. Zęby szlaku są dziergane ścięciem langietkowym, a ozdobione rzędem pikotów z oliwkowego jedwabiu, które robią się sposobem następującym: ciągle naprz. mian: 3 ścięgi kordonkowe o 3 ścięgi langietkowe, wsadzić igłę w ścięg następny, owinać ją 15 razy nitką i przeciągnąć przez wszystkie razem igłą, a w końcu zrobić 1 ścięg kordonkowy i t. d. Do zębów przymocowują się kwasty z pasowego i oliwkowego jedwabiu, a obrab podługnych brzegów obhaftowuje się ścięciem langietkowym, podług ryc. 7 w Bluszczu Nr 14.



Nr 6. Rzucik na serwety i t. p. haftem płaskim, supełkowym i łańcuszkowym.

Nr 4. Rzut na tło do serwety ryc. 5. Wielkość naturalna.



Nr 5. Serwetka haftowana. (Do ryc. 1, 3 i 4 oraz 19 w B. Nr 14).

wioną filozelą, ścięciem płaskim, gałązkowym, supełkowym i stębnówką.

Serweta haftowana.

Rycina Nr 7 i 8.

Na zrobienie tej serwety, potrzebny jest kawał odpo-



Nr 9. Spódnica do sukni ryc. 27 i 28 w Bl. Nr 14.



Nr 8. Szlak do ryc. 7 ścięciem łaskim, langietkowym i pocztowym.



Nr 7. Serweta haftem płaskim, langietkowym i pocztowym. (Do ryc. 8 oraz ryc. 7 w Bl. Nr 14).

kwiatków, w połączeniu z ciemno-zielonymi liśćmi i pękiem zielonej trawy.

Uczesanie włosów.

Rycina Nr 12.

Uczesanie to wymaga krótkich i gęstych włosów



Nr 10. Spódnica do sukni ryc. 18.



Nr 18. Suknia kaszmirowa ozdobi na naszyjecie z plecionki. Prząd (Do r. 10). Krój i opis pier. str. tabl. Nr 11, fig. 15 - 23.

ki, zapomoć żelazka do karbowania włosów i loki te upinają się na wierzchu głowy tak, aby zakryły przypięcie fałszywych włosów. Włosy te związują się wstążką i przypinają do włosów własnych tak, aby się trzymały przy głowie, następnie podwija się je pod spód i końce zwinie w loki, upina się na kokardzie.

Kapelusz letni bastowy.

Rycina Nr 13.

Kapelusik ten z bastowej oliwkowej plecionki, ma główkę 12 cent. wysoką, a rondko z przodu 6 1/2, z tyłu 2 cent. szerokie, trochę wywinie, podszyte gładko zielonawym mieniącym aksamitem. Upięcie kapelusika stanowi aksamit, podszyty złotą gazą i sama gaza ufaldowna podług ryciny i przypięta z przodu główki metalową agrafką.

Parasolki i wachlarze.

Rycina Nr 14 do 17

Parasolka ryc. 14 pokryta jest atłasem modnego koloru, a przybrana wach-



Nr 28. Szlaczek do serwet lub t. p

własnych, oraz dużego promienia fałszywych, ukarbowanego i na końcach zwinie w loki (ryc. 11 w Blu. Nr 14). Przedewszystkiem trzeba włosy własne rozdzielić na przednie i tylne, a przednie wprost nad czołem na dwie połowy; potem wszystkie włosy zostawione z tyłu podczesują się do góry i upinają w węzeł na wierzchu głowy, przednie karbują się, tapirują, zczesują do tyłu i przypinają do węzła, do którego także przy-



Nr 15. Wachlarz.

Nr 14. Parasolka



Nr 11. Toczek z aksamitu i koronki.



Nr 12. Uczesanie do r. 11 w B. Nr 14).



Nr 13. Kapelusz letni bastowy.

larzykami z hiszpańskiej koronki, 14 cent. szerokiej, tegoż co atlas koloru; podszywka lustrynowa, kijek z drzewa orzechowego, politurowany, przybrany kokardą z atłosowej wstążki. — Wachlarz ryc. 15 zrobiony z czarnego drzewa, ze srebrnymi ozdobami i brązowego atlasu z malowaną girlandką róż; brązowy jedwabny sznur i kwasty dopełniają wachlarza. — Parasolka ryc. 16 pokryta ciemno-pasowym atlasem, podszywka ma lustrynową tegoż koloru, oszyta w koło uplisowaną koronką, a przybrana ciemniejszymi pomponami. Koniec kijka oraz rączka, oklejone są grubą skórą, oraz przybra-



Nr 16. Parasolka.

Nr 17. Wachlarz



Nr 19. Stanik aksamitny.

ne pomponami. — Wachlarz ryc. 17 ma 33 cent. długości, podstawa drewniana mozajkowa. Pokrycie z oliwkowego atlasu, ozdobione malowanymi różami i ptaszkami, sznur i kwasty brązowe.

Stanik aksamitny.

Rycina Nr 19.

Stanik z ciemno-granatowego aksamitu, zapięty na dwa rzędy dużych guzików, przybrany mankietami z granatowej satin-merveilleux i kokardą.

Kostium spacerowy dla młodej osoby.

Rycina Nr 20.

Spódnica pokryta równymi brytami brązowej wełnianej materyi, przybrana u dołu zakładkami. Kaftanik wyścięty, z patkami u dołu i kamizelką z brązowego repsu, przybrany szeroką wełnianą tasmą brązową i guzikami.

Okrycie z sycylienny i aksamitu.

Rycina Nr 21.

Krótkie okrycie w części z czarnego aksamitu, w części z sycylienny tegoż koloru, na jedwabnej podszwewce, przybrane u dołu koronką.



Nr 29. Szlaczek do serwet i t. p



Nr 20. Kostium spacerowy dla młodej osoby.

Nr 21. Okrycie z sycylienny i aksamitu

Nr 22. Okrycie z angielskiego wełnianego materyału.

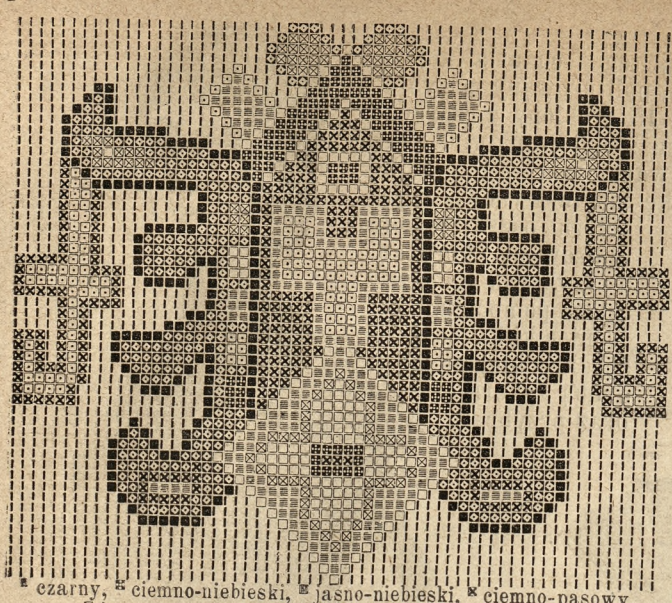
Nr 23. Okrycie z gazy aksamitnej. Krój i opis pier. str. tabl. Nr III, fig. 24-27.

Nr 24. Kostium spacerowy dla młodej osoby. Krój i opis odwr. str. VII fig. 52-57.

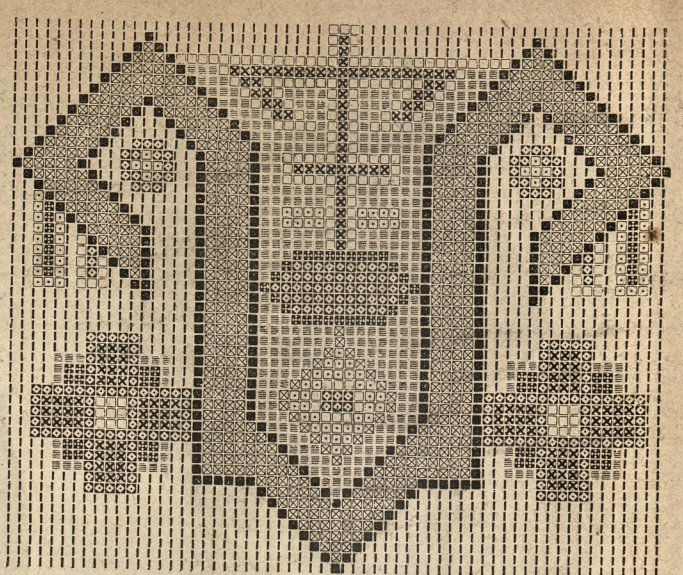
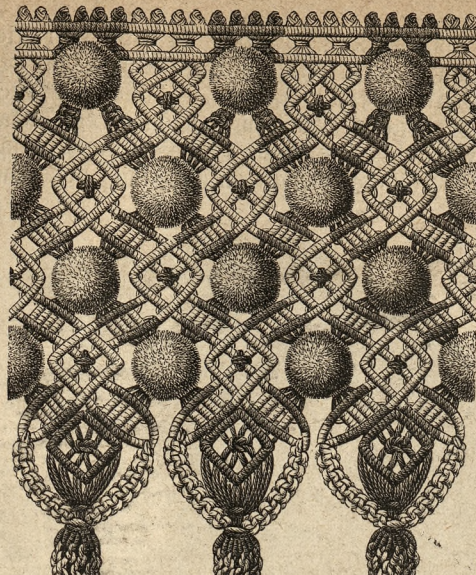
Nr 25. Okrycie z repsu „ottoman”

Nr 26. Okrycie z wełnianego materyału. Krój i opis odwr. str. tabl. V fig. 40-46.

Nr 27. Okrycie z angielskiego wełnianego materyału. Plecy. (Do ryc. 36). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 47-51.



■ czarny, ■ ciemno-niebieski, ■ jasno-niebieski, ■ ciemno-pasowy, ■ jasno-pasowy, ■ oliwkowy, ■ szary, ■ żółty, ' tło.
Nr 30. Wzór haftu do pokrowców na meble, storów i t. p.

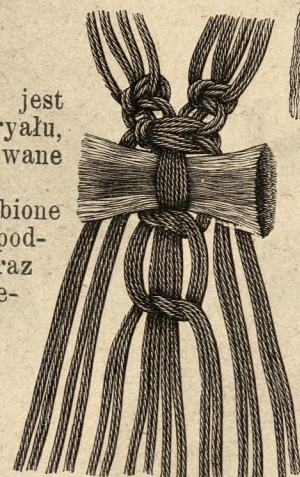


■ czarny, ■ ciemno-pasowy, ■ jasno-pasowy, ■ ciemno-niebieski, ■ jasno-niebieski, ■ żółty, ■ szary, ■ oliwkowy, ' tło.
Nr 31. Wzór haftu do pokrowców na meble, storów i t. p.

Okrycia wiosenne.

Rycina Nr 22 i 25.

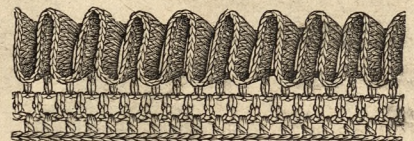
Okrycie ryciny 22 zrobione jest z angielskiego wełnianego materiału, z przodu gładkie, z tyłu ufałdowane i przybrane wełnianą tasiemką. Krótkie okrycie ryc. 25 zrobione z repsu „ottoman“ na jedwabnej podszewce i przybrane koronką, oraz pasmanteryą z perełek i jedwabnego sznurka.



Nr 32. Frendzia do serwet i t. p. robota wiazana. (Do ryc. 33 i 34).



Nr 34. Dowiazanie pasma jedwabiu do r. 3'. Drugi szczegol.



Nr 35. Szlaczek do kołnierzyków i rękawów robota szydełkowa.

Kostiumy dla pań.

Rycina Nr 38 i 39.



Nr 36. Okrycie z angielskiego wełnianego materiału. Przęd. (Do ryc. 27).

Rycina Nr 38. Spódnica z wyciskanego brązowego aksamitu, pokryta drugą spó-

Nr 33. Dowiazanie pasma jedwabiu do ryc. 32. Pierwszy szczegol.

dnicą z sukna modnego jasnego koloru, rozciętą z prawego boku i przybraną wełnianą, przerabianą złotą taśmą; takąż taśmą przybrany staniczek z sukna z akksamitnym napierśnikiem i kołnierzykiem.

Rycina Nr 39. Spódnica z przodu gładka, z tyłu fałdowana i fałdowany staniczek zrobione są z oliwkowego sukna; wstawiona część przodu spódnicy, pelerynka, pasek i ranwersy u rękawów zrobione z pluszu koloru sukni.



Nr 38. Kostium z sukna i wyciskanego aksamitu.

Nr 39. Kostium z sukna i pluszu.

Nr 40. Suknia z wełnianej krepy. Przęd. (Do ryc. 13 w Blu. Nr 14).

na potrawą, podawaną zamiast szuki mięsa. Potrzebuje się gotować nie mniej jak godzin cztery, nie należy go obierać ze skóry, po ugotowaniu do połowy, jak to wiele osób czyni, lecz dopiero gdy zupełnie miękkie, ściągnąć skórę, która wtedy z łatwością zjeździe, ożór ukośnie w średniej grubości plasterki pokrajać, odrzucając całe ugotowane na twardo i usiekanem, na to tartym chrzanem uduszonym w masle — poprzednio sparzonym, na wierzch zaś polać bardzo suto młodem masłem z rumianą buleczką, którego powinno być obficie i które ma być bardzo gorące. Elegancko wygląda i bardzo dobrze smakuje. L. C.



Nr 37 Okrycie z repsu „ottoman“ Pleev. (Do ryc 2 w Bl. Nr 14).

Obiad na Niedzielę

1. Zupa „à la reine“, czyli z drobiu.
2. Poledwica z makaronem.
3. Kalafiory.
4. Kwiczoły z borówkami.
5. Suflet z pomarańcz.

UWAGA.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót dziś podane, dołączoną była do 14 numeru Bluszczu.

Przepisy gospodarskie

Ozór solony.

Ozór solony jest bardzo poszukiwa-